



Anne Stuart
Fascynacja



Tłumaczyła

Hanna Ordega-Hessenmiiller



Co kryje prawda? -1



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Molly Ferrell, podjechawszy na sam skraj wysokiego brzegu, wyłączyła silnik i wrzuciła pierwszy bieg. Nareszcie! Po dwóch dniach, prawie w całości spędzonych w mało przestronnej hondzie, w końcu ujrzała cel swojej podróży. Niewielką osadę rybacką Hidden Harbor w stanie Maine, ukrytą między dwoma cyplami, nad samym brzegiem Atlantyku. Miejsce już na pierwszy rzut oka senne i konserwatywne, trzymające się z dala od emocji początku nowego tysiąclecia.

Oczywiście nie był to środek lata. Jesień zdążyła już nadać liściom swoje barwy - najrozmaitsze odcienie złota, mosiądzu i miedzi. Sezon się skończył, turyści powyjeżdżali. Większość hotelików zamknięta była na cztery spusty, skończyło się wynajmowanie pokoi ze śniadaniem. Molly miała wiele szczęścia, że w ogóle udało jej się znaleźć jakieś lokum. Mogła co prawda

zatrzymać się trzydzieści mil stąd, w Sanfordzie, mieście o wiele większym, a więc też i o większych możliwościach, ale takie rozwiązanie byłoby o połowę mniej efektywne. Uznała, że powinna zamieszkać w samym Hidden Harbor, dzięki czemu będzie jej o wiele łatwiej uzyskać odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

Rezerwacji musiała dokonać w staromodny sposób, czyli przez telefon, ponieważ Internet w tym przypadku okazał się zadziwiająco bezużyteczny. Telefon zresztą też początkowo sprawiał podobne wrażenie. Zamierzała już się poddać i dzwonić do Sanford Holiday Inn, kiedy ktoś w końcu łaskawie podniósł słuchawkę. Ktoś, czyli Marjorie Twitchell, właścicielka Harbor Inn, która poinformowała ją, że zajazd jest właśnie w trakcie remontu, ale pokój się znajdzie, jeśli pannie Ferrell odpowiadają raczej spartańskie warunki.

Molly, gdyby znalazła się w sytuacji ostatecznej, gotowa była nawet rozstawić namiot na środku miejskiego trawnika. Załatwienie trzech miesięcy urlopu na pracę naukowo-badawczą graniczyło z cudem i absolutnie nie wolno było ich zmarnować. Z początkiem stycznia Molly musi wrócić do belferki w wielkiej fabryce edukacyjnej, czyli do Southern Michigan University, a teraz musi się sprężyć, jeśli rzeczywiście chce mieć gotowy zarys swojej książki. Nie tylko

zarys, w głębi duszy żywiła nadzieję, że podczas pobytu w Hidden Harbor uda jej się napisać pierwszą roboczą wersję.

Tę książkę musi napisać, nadeszła bowiem pora na dokonanie zasadniczego zwrotu w życiu i skończenie z tą dziecinadą, z tym podzwonnym pełnego marzeń okresu dojrzewania. Czyli z obsesją na punkcie dawno zmarłego pisarza i poety - Michaela O'Flannery'ego. Trzeba zmierzyć się ostatecznie z jego duchem, a dzięki książce o nim akcje pani doktor Ferrell znacznie wzrosną i może wreszcie uda jej się dostać upragniony stały etat na uczelni.

Czy ona, u licha, nie mogła zadurzyć się w kimś normalnym, w jakimś aktorze albo gwiazdzie rocka? Niestety, obiektem jej uczuć stał się młody, znany pisarz i poeta, którego życie i samobójcza śmierć owiane były tajemnicą. Do wiadomości ogółu dotarła wówczas tylko garść skąpych informacji, raczej mętnych, a w ciągu następnych dwudziestu lat o poecie prawie zapomniano. Pozostawił po sobie co prawda tylko jedną powieść, zresztą znakomitą, i zbiór wierszy - wspinały wytwór chorobliwej wyobraźni - a śmierć w tajemniczych okolicznościach przydawała jego postaci atrakcyjności, mimo to z biegiem lat nazwisko O'Flannery stało się niczym więcej, jak jeszcze jednym nazwiskiem pojawiającym się w przypisach.

W przypadku Molly Ferrell pamięć o Michaelu O'Flannerym wcale nie zbladła. Ta przedziwna, irracjonalna obsesja, która zawładnęła wrażliwą piętnastolatką, nie zniknęła. Michael O'Flannery prześladował ją nieustannie. Kochała jego słowa, metafory, niezwykły sposób myślenia. Zafascynowana była wszystkim, co się z nim wiązało, także jego tragicznym losem, nie wyjaśnionym do dziś.

Gdyby doszła prawdy, może udałoby się jej wtedy od niego uwolnić. Bardzo by chciała to krótkie, ale jakże wspaniałe życie podzielić na kawałeczki, każdy zbadać dokładnie i złożyć z powrotem w jedną przejrzystą całość.

A potem - niech jej życie toczy się dalej. Wartko, bez żadnego balastu przeszłości, żadnych zagubionych poetów czy rozważań o zerwanych zaręczynach. Koniec z marzeniami. Nastąpi epoka całkowitego pragmatyzmu, pora bowiem w końcu dorosnąć i na życie patrzeć z praktycznego punktu widzenia. A podstawą wszystkiego, naturalnie, jest stały etat. Kiedy go dostanie, nigdy już nie ruszy się z uczelni, o nie. Ten etat zapewni jej stabilizację i bezpieczeństwo, na tej bazie będzie mogła samodzielnie dokonywać wyborów. Ale żeby dostać etat, trzeba napisać książkę o Michaelu O'Flannerym. Bez tego się nie obejdzie...

Michael O'Flannery całe swoje życie spędził

w Hidden Harbor. Z jej punktu obserwacyjnego miejscowość ta wyglądała na bardzo spokojną i raczej zgrzebną. Żadnych luksusowych jachtów. W porcie cumowały tylko solidne kutry i łodzie rybackie, przede wszystkim do połowu homarów, podstawowego źródła utrzymania mieszkańców tej osady. Molly wiedziała już o tym dzięki zebranych wcześniej informacjom. Kto nie łowił homarów, z trudem wiązał koniec z końcem. Jak wiecznie pijany ojciec Michaela O'Flannery'ego. Nikt z rodziny go nie przeżył. Oboje rodzice zginęli w wypadku samochodowym na jakiś czas przed jego samobójczą śmiercią. Nie miał rodzeństwa, żadnych ciotek ani wujów. Ale rodzina to nie wszystko, Michael żył przecież w otoczeniu jeszcze innych ludzi, sąsiadów, znajomych, przyjaciół. Ci ludzie na pewno zachowali o nim jakieś wspomnienia. Może wśród nich znajdą się i tacy, którzy pomogą dojść prawdy o Michaelu O'Flannerym. Pomogą znaleźć odpowiedź na pytanie, za sprawą jakich demonów ów młody człowiek tworzył prozę tak mroczną i nawiedzoną. I co skłoniło go do tego ostatecznego kroku. Co kazało mu pewnego dnia wziąć broń i bezpowrotnie zniknąć w leśnych ostępach.

Jeśli szczęście dopisze, może uda się odnaleźć jakąś fotografię. Michael O'Flannery podczas krótkiego okresu sławy unikał kamer jak ognia, zachowały się tylko niewyraźne ujęcia tyłu

głowy. Molly nie miała więc bladego pojęcia, jak wyglądał obiekt jej marzeń. Czy był wysoki i szczupły, czy raczej niski, ale mocno zbudowany. Jakie miał włosy? Ciemne, krótko ostrzyżone, a może raczej bujną, jasną czuprynę? Niewiedza na ten temat w jakiś sposób czyniła jego osobę jeszcze bardziej intrygującą, a poza tym utwierdzała Molly w przekonaniu, że zakochała się w słowach Michaela, a nie w nim samym. Bo jak można pokochać kogoś, kogo nigdy nie widziało się na oczy?

Wysiadła z samochodu i na chwilę przykucnęła na wysokim brzegu. Wzięła głęboki oddech. Słone, morskie powietrze napełniło jej płuca. Cudownie... Kiedy to ona po raz ostatni była nad oceanem? Całe lata minęły. Zdążyła zapomnieć, ile ukojenia dają takie chwile, gdy człowiek po prostu siedzi sobie i patrzy na spienione fale, uderzające o brzeg. Nic tak nie uspokaja. To całe Michigan, choć piękne i pełne bezkresnych przestrzeni, nie umywa się do tego miejsca.

Molly wyrosła w stanie Rhode Island, w miasteczku położonym na samym brzegu Atlantyku. Była pewna, że na całe życie ma dość wody po horyzont. Ale myliła się. Kto urodził się nad wodą, ma ją już we krwi. Dlatego teraz widok małej rybackiej osady wydał jej się niemal swojski. Jakby wróciła do domu. Była pewna, że przyciągnęła ją tu nie tylko legenda o Michaelu

O'Flannerym. Nie. Wezwał ją ocean. Po raz pierwszy uzmysłowiła sobie, że tak naprawdę, to chciałyby tu zostać. Znow zamieszkać nad Atlantykiem, oddychać jego słonym powietrzem, słuchać szumu fal... A więc jeszcze jedno marzenie, jak na razie nie do spełnienia. Nie mogła sobie pozwolić na kupno posiadłości nad oceanem, tak samo jak nie mogła zrezygnować z pracy na uczelni. Czyli trzeba zadowolić się tym, co jest. Te trzy miesiące nad oceanem przynajmniej napompują ją na kilka lat.

I w ciągu tych trzech miesięcy osiągnie swój cel. Oczywiście!

- Już ja cię dopadnę, Michaelu O'Flannery - mruknęła Molly, sadowiac się z powrotem w hondzie. - Pogadam sobie z twoim duchem i dowiem się wszystkiego.

Chłodna bryza znad oceanu nie przyniosła żadnej odpowiedzi. Co też i nie było żadną niespodzianką. Molly przekreśliła kluczyk, włączyła bieg i ruszyła krętą drogą wiodącą do Hidden Harbor.

Pierwsze wrażenie nie było przyjemne. Sezon turystyczny się skończył, mieszkańcy osady szykowali się do zimy. Co najmniej połowa domów zamknięta była na cztery spusty, żaluzje opuszczone. Słońce chyliło się ku zachodowi, drzewa i domy kładły na ziemi długie, ponure cienie. Na dworze było jeszcze stosunkowo ciepło, ale Molly

czuła, że zdecydowanie powiało chłodem. Pomyślała jednak, że jak zwykle dramatyzuje. To jedna z jej słabości. A przecież tu nie rozgrywa się żaden dramat. Mieszkańcy Hidden Harbor bardzo prawidłowo reagują na zmienność warunków ekonomicznych w zależności od pory roku. Mimo że jest to społeczność niewielka, prawdopodobnie w tej osadzie, w przeciwieństwie do reszty wybrzeża, niewiele się zmieniło w ciągu ostatnich trzydziestu, a może nawet pięćdziesięciu lat. Prawdopodobnie wszystko tu wygląda podobnie jak za czasów Michaela O'Flanery'ego i ten fakt był Molly bardzo na rękę. Przecież to niesamowicie ułatwi odtworzenie sobie jego życia.

Harbor Inn odnalazła bez trudu, na samym końcu osady, w miejscu z widokiem na port i bezkresny Atlantyk. Był to spory budynek, rozłożysty, o nieco chaotycznej architekturze i rzeczywiście rozpaczliwie domagający się szeregu napraw, łącznie z odmalowaniem fasady i położenia nowego dachu. Tym potrzebom musiało stać się zadość, z wnętrza domu bowiem dochodziły przytłumione odgłosy młotka i przeraźliwy jazgot pił elektrycznych. Molly, wjeżdżając na pusty parking, skrzywiła się w duchu, chociaż nie powinno być to dla niej niespodzianką. Przecież Marjorie Twitchell uprzedziła ją, że w zajezdni będzie remont, a więc bałagan i hałas. A poza

tym przebywanie w tym zajeździe ma niewymierne korzyści. Harbor Inn stoi tu zapewne od co najmniej stu lat, niemożliwe więc, żeby Michael O'Flannery kiedyś tu nie wstąpił. Musiał tu bywać i teraz Molly znajdzie się pod tym samym dachem i będzie stapać po tej samej podłodze co on. Ta myśl była ekscytująca.

I niepokojąca. Jeszcze jeden dowód, że ona ma na jego punkcie bzika. Chociaż... W czym problem? Przecież to dobrze, jeśli człowiek angażuje się w swoją pracę, a przecież O'Flannery to fascynujące studium charakteru. Jego legenda i dramat osobisty poruszają każdego. No... może nie każdego. Byłego narzeczonego Molly zmarły poeta nie wzruszał, a wkurzał. Kiedyś w napadzie zazdrości wykrzyczał jej w twarz, że ona zakochana jest, owszem, ale w Michaelu O'Flannerym. Może i było w tym źdźbło prawdy. Była w nim zakochana. Troszkę. Ale, na litość boską, ten człowiek nie żył od dwudziestu lat! Komu to szkodzi, jeśli ma się trochę fantazji?!

Szkodzi. Robert zawsze twierdził, że ona nigdy nie pokocha go naprawdę, dopóki nie wyleczy się z tej głupiej fascynacji. Niestety, istniało zbyt wiele powodów, żeby darzyć sentymentem zagubionego poetę. Robert, ogólnie rzecz biorąc, był lekko stukniętym nerwusem, dlatego w końcu dała sobie z nim spokój. Dobrze zrobiła. Serce pozostało nietknięte, wyszła z tego tylko ze

zranioną dumą. Co zresztą, z jakiegoś tam powodu, pogarszało sytuację.

Było, minęło... Molly energicznym ruchem wyciągnęła z bagażnika swoją torbę, laptopa i podeszła do drzwi. Wyjątkowo solidnych, dlatego zapukała tylko raz i orzekła w duchu, że to nie ma sensu. W tym jazgocie pił i tak nikt nie usłyszy. Dzwonka nie było, dlatego po chwili namysłu zdecydowała się nacisnąć na dużą, wypolerowaną kłamkę z mosiądzu.

Drzwi ustąpiły. Molly weszła do holu, postawiła bagaż na wypłowiełym orientalnym dywanie i zrobiła głęboki wdech. Miała wrażenie, jakby czas nagle cofnął się o co najmniej sto lat. Z powodu kłębków kurzu, unoszących się w powietrzu i przede wszystkim tego zapachu - po prostu zapachu minionych lat. W powietrzu unosił się również zapach oceanu i zapach świeżego drewna. Wszystko to razem tworzyło cudowną, orzeźwiającą mieszankę i Molly była pewna, że gdyby komuś udało się zamknąć ten zapach w butelce, zrobiłby na tym pomysł majątek.

- Dzień dobry! - krzyknęła w głąb przepastnego wnętrza. Niby głośno, ale bez przekonania. Jej głos prawdopodobnie nie był w stanie dotrzeć w głąb tego wnętrza, tak jak i pukanie do drzwi. Zamknęła więc drzwi za sobą, odgradzając się od świata zewnętrznego i podażyła ku kolejnym drzwiom, za którymi bez wątpienia cieśla pracował pełną parą.

Otworzyła te drzwi i znalazła się w kuchni. Nagła cisza, jaka teraz zapadła, u osoby bardziej wrażliwej mogła spowodować atak serca. Ciszę przerwała pulchna kobieta w średnim wieku.

- Och! Pani na pewno jest panią doktor Ferrell! Serdecznie witamy w Hidden Harbor! - Kobieta wysunęła się o krok do przodu, uśmiechając się nerwowo. - Bardzo panią przepraszam, ale Jake i Dave robią taki harmider, że pukania do drzwi w ogóle tu nie słychać. Ja, oczywiście, jestem Marjorie Twitchell, a to dwóch moich cieśli, Jake i Davy. Jake, to panna Molly Ferrell. Mówiłam ci, że panna Ferrell zatrzyma się u nas na kilka tygodni

- Tak. Mówiłaś mi - rzucił niechętnym głosem mężczyzna. - Nie rozumiem tylko, dlaczego zrobiłaś to dopiero przed pięcioma minutami.

Odwrócił się i spojrzał na Molly. Wrogość w jego ciemnoniebieskich oczach była zaskakująca. Ten człowiek widział Molly po raz pierwszy w życiu i już zdecydował, że jej nie lubi.

- A więc, Jake... - odezwała się pani Twitchell płaczącym głosem, ale Jake jej nie słuchał.

Cała jego uwaga skupiona była na Molly. A jej uwaga, co tu kłamać - na nim. Był bardzo przystojny, starszy od niej może o jakieś dziesięć lat. Miał długie ciemne włosy, chłodne spojrzenie i ciało niczego sobie, owszem, co naturalnie wcale nie znaczyło, że Molly jest tym ciałem

zainteresowana. Przysięgła sobie przecież, że w ciągu najbliższych trzech miesięcy liczyć się będzie dla niej tylko jeden mężczyzna, czyli Michael O'Flannery. A poza tym było oczywiste, że ten mężczyzna tutaj, ten cały Jake, jest nią chyba jeszcze mniej zainteresowany niż ona nim.

- Przyjechała tutaj, żeby grzebać w przeszłości i wtykać nos w cudze sprawy - odezwał się niskim, twardym głosem, z gatunku tych, co u słuchających wywołują bardzo nieprzyjemny dreszcz na plecach.

- Ależ skąd! - zaprotestowała. - Przyjechałam tu, bo Michael CFlannery był znakomitym pisarzem, a jego twórczość, niestety, ulega zapomnieniu. Chciałabym temu przeciwdziałać...

Jake milczał, wpatrując się w nią, co było po prostu denerwujące.

- Może lepiej, żeby został zapomniany - powiedział po dłuższej chwili. - Niech spoczywa w spokoju.

Molly zdecydowała się na wypowiedź krótką i szczerą.

- Ale ja nie potrafię o nim zapomnieć.

- O czym ona mówi, Jakei - Drugi cieśla, olbrzymi, zwalisty mężczyzna, wyższy jeszcze od Jake'a, wysunął się z ciemnego kąta i kołyszącym się, niedbałym krokiem zaczął zbliżać się do Molly.

Znów poczuła zimny dreszcz na plecach. Na

twarży olbrzyma malowała się niechęć. A oczy, wlepione w nią, były szeroko otwarte, pełne ciekawości i niewinności. Jak oczy dziecka.

- O niczym, Davy - odezwał się Jake spokojnym głosem. - To jeszcze jedna turystka.

- Turyści już powyjeżdżali, przecież wiem. A co ona ma do Michaela? Chce go tu przywieźć z powrotem?

- Michael nie wróci, Davy. On umarł. Dwadzieścia lat temu. Zapomniałeś?

- Nie. Nie zapomniałem - powiedział Davy i zrobił następny krok w kierunku Molly. - Ona jest ładna.

- Davy! - W głosie Jake'a słychać było wyraźne ostrzeżenie. Ale Davy nie słuchał i dalej przemierzał kuchnię. - Ona jest ładna - powtórzył swoim bezbarwnym głosem. - Naprawdę ładna.

Teraz kuchnię przemierzył szybko Jake. Wziął Davy'ego pod rękę i zdecydowanie, choć jednocześnie zadziwiająco delikatnie, odciągnął go od Molly.

- Już późno, Davy. Odwiozę cię do domu.

- Ale my mamy jeszcze robotę.

- Dokończymy, kiedy ona stąd odjedzie.

- Przepraszam, ja nie mam zamiaru nikomu w niczym przeszkadzać - zaproponowała natychmiast Molly. I omal nie wzdrygnęła się, kiedy granatowy wzrok Jake'a przemknął po całej jej

postaci. - Będę często stąd wychodzić, żeby popytać się ludzi...

- Będzie pani tylko tracić czas - rzucił szorstko Jake. - Marjorie powinna była panią o tym uprzedzić. A pani w ogóle nie powinna była tu przyjeżdżać.

- Przepraszam, co pan powiedział-

Starła się bardzo, aby zabrzmiało to jak najbardziej chłodno i dystyngowanie.

- To, co pani usłyszała - odparł równie lodowato. - Nikt nie ma zamiaru czegokolwiek pani opowiadać. Davy, idziemy!

Trzasnęły drzwi.

- Och ten Jake! On jest taki impulsywny!

- zatrajkotała pani Twitchell. - Muszę panią ostrzec, panno Ferrell, Jake czasami bywa bardzo nieprzyjemny. Ale najlepiej w ogóle nie zwracać na niego uwagi.

- Czyli ma jakiś problem. Można wiedzieć, jaki-

- Och, taki sam, z jakim zetknie się tu pani wszędzie. Ten problem to oczywiście... Michael O'Flannery!

Mogło być gorzej, pomyślał Jake, kiedy po odholowaniu Davy'ego do domu jego rodziców, ruszył w drogę powrotną. Tak. Mogło być gorzej. W ciągu minionych lat do Hidden Harbor prawie

co roku przyjeżdżał jakiś pracownik naukowy. Przyjeżdżali tu węszyć i zadawać ludziom mnóstwo pytań. Molly Ferrell zdecydowanie różniła się od swoich poprzedników. Przede wszystkim wiekiem, bo tamci na ogół byli starsi. Poza tym Molly nie miała w sobie tej profesjonalnej pewności siebie i elokwencji, co jej poprzednicy. Ona w ogóle nie wyglądała na jakąś panią doktor, choć Marjorie Twitchell z całą stanowczością twierdziła, że jest nią na pewno.

Była młoda, wyglądała na jakieś dwadzieścia kilka lat, najwyżej trzydzieści. Na pewno była młodsza od niego jakieś dziesięć, a może nawet piętnaście lat. I była ładna, to fakt, ładna na swój sposób, jakiś taki wdzięczny, delikatny, nie rzucający się oczy. A on zawsze był nieodporny na łagodne brązowe oczy i długie brązowe włosy. No i nie mógł nie zauważyć jej ust.

Potrząsnął głową. Doskonale zdawał sobie sprawę, dlaczego dostrzegł te piękne brązowe oczy. W końcu jest jeszcze młodym mężczyzną i niczego mu nie brakuje, a od lat otaczają go wciąż te same kobiety. Co się dziwić, że młoda, ładna osoba zwróciła jego uwagę. Naturalnie, nic z tego nie wyniknie, bo ta osoba przede wszystkim stanowi kłopot. Ma łagodny głos i zachowuje się bardzo powściągliwie, wręcz nieśmiało, ale przyjechała tu w tym samym celu, co jej poprzednicy. Będzie węszyć. Czyli trzeba jak najprędzej

się jej pozbyć. Od lat robił to z każdym nieproszonym gościem.

Jednak tym razem jakoś dziwnie nie miał na to ochoty, ale nie było innego wyjścia. Nie wolno ryzykować. Groziło to przecież odkryciem prawdy o Michaelu, która chroniona tu była jak największy skarb.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Wiatr od oceanu wzbił suche liście, zaścielające chodnik. Molly, próbując osłonić uszy, podciągnęła jak najwyżej swój gruby wełniany sweter. Żałowała, że nie wzięła czapki ani rękawiczek. Zimne podmuchy znad Atlantyku kasały wyjątkowo mocno. W ogóle wyglądało na to, że babie lato postanowiło opuścić Hidden Harbor. Tak samo zresztą jak większość jego mieszkańców, których na ulicy prawie nie uświadczysz.

Krótki spacer ze starego zajazdu przez środek osady miał na celu ożywienie kończyn zeszywniałych po długiej jeździe samochodem oraz prze-myślenie rewelacji, przekazanej przez panią Marjorie Twitchell.

W pierwszej chwili Molly pomyślała, że starsza pani coś tam sobie ubzdurała. Bo i niby dlaczego cała osada rybacka miałaby aż do tego stopnia przejmować się człowiekiem, który zmarł wiele

lat temu, a poza tym był człowiekiem zagubionym, całkowicie nieprzystosowanym do rzeczywistości? Dziwne i zaskakujące. Molly bowiem była przekonana, że tak naprawdę to ona, Molly Ferrell, jest jedyną osobą na świecie, która Michaela O'Flannery'ego zachowała w pamięci. Tak bardzo zżyła się z tą myślą, że zaczęła traktować go niemal jak własność prywatną. A teraz okazało się, że rzecz cała wygląda inaczej, mało tego, pojawiają się dodatkowe komplikacje. Ten cieśla, Jake, od pierwszej chwili poczuł do niej antypatię. Ciekawe, jak to będzie z resztą mieszkańców Hidden Harbor, których teraz jakby stąd wymiotło. Ulica puściusieńka, wszystkie sklepy zamknięte i żaluzje opuszczone...

Opuściła głowę, kryjąc twarz przed ostrymi podmuchami wiatru i konsekwentnie, choć z pewnym trudem, posuwała się do przodu, starając się w duchu nieco uspokoić. Znowu coś tam sobie ubzdurała. Przecież już po piątej, o tej porze większość sklepów zwykle jest zamknięta.

I ludzie wtedy tłumnie wylegają na ulice, spiesząc do swoich domów... Tak. Ale Hidden Harbor to osada rybacka, a rybacy, jak powszechnie wiadomo, mają zdecydowanie nienormalny czas pracy.

Hidden Harbor miało tylko trzy kwartały domów, na obrzeżach osady zieleniły się piękne trawniki, za którymi widać było wysoki biały

kościół ze strzelistą wieżą, trochę krzywą, ale podążającą ku niebu. Molly przemierzyła trawnik i przystanąła przed żelazną bramą, strzegącą kościelnego dziedzińca. Był to kościół prezbiteriański, a O'Flannery wychowany został w wierze katolickiej, prawdopodobnie więc w ciągu swego krótkiego życia ani razu nie odwiedził tego miejsca. Ale Molly, sama właściwie nie wiedząc dlaczego, otworzyła bramę, weszła na dziedziniec i podążyła w kierunku niewielkiego cmentarza.

Cmentarzyk utrzymany był wzorowo. Liście, opadłe z drzew, wymiecione, chwasty powyrwane, żadnych potrzaskanych nagrobków czy tandetnych kwiatów z plastiku. Molly minęła kwatery Twitchellów i Thomasów, Morrisonów, Bairdów i Belhamów, niektóre nagrobki ustawiono tu już w osiemnastym wieku. Szła bez określonego celu, po prostu przed siebie. Tak przynajmniej jej się wydawało, jednak jej nogi miały własną koncepcję marszu. Poniosły ją do miejsca, w którym podświadomie spodziewała się znaleźć. Przed prosty, skromny nagrobek z czarnego marmuru.

Michael O'Flannery. 1963-1983. Nic więcej. Daty się zgadzały, ale jak to się stało, że pochowano go na cmentarzu prezbiteriańskim? I z jakiej racji w ogóle go pochowano?! Przecież jego ciała nie odnaleziono, pod tym skromnym nagrobkiem nie leży nikt, po co więc ktoś zadał

sobie trud i poniósł niemałe koszty? Kto? Przecież wszyscy najbliżsi Michaela dawno pomarli.

Kilka suchych liści opadło na nagrobek. Molly przyklękała i zaczęła zmiatać je ręką. Chciała to zrobić, chciała dotknąć ręką czarnego marmuru, pod którym nie było Michaela, ale jednocześnie w jakimś sensie był. I wyczuwało się tę jego obecność. Przecież to jego nagrobek...

- Do diabła! A co pani tu robi?

Zabrała szybko ręce i wyprostowała się gwałtownie, omal nie zderzając się z człowiekiem, który od pierwszego wejrzenia zdawał się być jej zaprzysięgłym wrogiem. Teraz spojrzenie, jakim obdarzył ją cieśla Jake, pod względem zasobów życzliwości można było porównać tylko do spojrzenia wygłodniałego pytona.

- Ja... ja... no więc - zaczęła raczej mało błyskotliwie, on jednak tak naprawdę wcale nie zamierzał słuchać jakichś wyjaśnień.

- Po co pani tu przyszła? - spytał gniewnym głosem. - Nie dość napsuli mu krwi za życia, to jeszcze po śmierci nie ma spokoju. Znów jakaś wielbicielka z uniwersytetu, co koniecznie chce popłakać nad jego grobem.

Ostre słowa zabolowały.

- A skąd pan niby wie, kim jestem?

- Przecież widzę. Robi pani dokładnie to samo, co one, te inne wielbicielki!

- Ale skąd pan wie, że jestem z uczelni?

- Powiedziała mi Marjorie Twitchell. I nie jest pani pierwszą facetką z uniwersytetu. Przed panią kręciło się tu wielu profesorów i profesorek. Koniecznie chcieli doszukać się jakiejś sensacji, najlepiej skandalu albo nieopublikowanego arcydzieła wielkiego człowieka. Jeśli pani też na to liczy, muszę, niestety, panią rozczarować. Nie ma żadnego nieznanego arcydzieła ani skandalu. A Michael po prostu sobie umarł. Odszedł na zawsze. Rozumie pani?

Jego sarkastyczny ton był wręcz wkurzający.

- A dlaczego pan chce się mnie pozbyć, panie...

- Jake. Po prostu Jake. Lepiej, jak przejdziemy na „ty”. Będziemy przecież dużo przebywać w swoim towarzystwie.

Molly ze zdumienia aż zamrugała oczami.

- Dużo? Jak mam to rozumieć... Jake?

- Dosłownie. Dokądkolwiek pójdziesz, pójde za tobą. Będę deptać ci po piętach. Bo my tutaj, w Hidden Harbor, bardzo nie lubimy, jak ludzie grzebią w życiu naszego miejscowego bohatera. A ja chcę mieć pewność, że nie narobisz żadnych kłopotów.

Kłopotów?! Przez moment Molly zastanawiała się, czy cieśli Jake'owi przypadkiem nie brakuje piątej klepki. I ma jakieś przywidzenia. Ale wyglądał raczej na człowieka zdrowego na umyśle. Tylko oczywiście maksymalnie wkurzonego.

- Nie będę sprawiała żadnych kłopotów - ode-

zwała się pojednawczym tonem. - Chcę napisać książkę o Michaelu O'Flannerym, ale to nie będzie biografia. Skupię się na jego dziełach.

- Tak? To po co tu przyjechałaś? Możesz przecież przeczytać sobie jego książki i to wystarczy. Z kupnem chyba nie ma problemu. O ile wiem, kilka razy ukazywały się wznowienia.

- Mam wszystkie jego książki, każde wydanie. Ale poznanie pewnych faktów z jego życia pomoże lepiej zrozumieć to, co napisał.

- Czyli chcesz jednak powęszyć. Popłakać nad jego grobem tylko przy okazji, bo tak naprawdę zamierzasz rozgrzebać jego przeszłość, pogadać z jego kochankami...

Molly nagle ożywiła się.

- Co mówisz? Kochankami? Że ja też nigdy o tym nie pomyślałam!

I rzeczywiście. Ten pomysł nigdy nie przyszedł jej do głowy. Może dlatego, że podświadomie odsuwała od siebie myśl, że Michael O'Flannery musiał mieć przecież jakieś życie intymne.

- Chodzi o kobiety czy facetów? - spytała.

- Co?!

- Słyszałam pogłoski, że był gejem i dlatego się zabił.

- Bzdura! - zachnął się Jake. Jego mina wyrażała największą dezaprobatę. - On wcale nie był gejem! I nawet dwadzieścia lat temu ludzie nie mieli zwyczaju zabijać się z powodu swojej

orientacji seksualnej. Pani ma zbyt bujną wyobraźnię, pani doktor Ferrell!

- Spokojnie. Ja tylko powtórzyłam coś, co kiedyś usłyszałam. Ty twierdzisz, że to nieprawda, więc w porządku. I cieszę się, że mi to powiedziałeś. Sam uprzedzałeś mnie, że niczego się tu nie dowiem. A proszę, już się czegoś dowiedziałam, czegoś bardzo istotnego. I wierzę ci, przecież ty musiałeś go znać. Na pewno, byliście przecież rówieśnikami! Czy przyjaźniliście się ze sobą?

Jake skrzywił się.

- A tobie nic do tego - burknął. - I radzę po dobroci. Lepiej stąd wyjeżdż, daruj sobie to babranie się w cudzej przeszłości. Nieważne, kim był O'Flannery i jaki był. Liczą się tylko jego dzieła, a te przecież masz.

- Mam, to fakt. Tym niemniej wcale nie zamierzam jeszcze stąd wyjeżdżać - oświadczyła spokojnym, zdecydowanym głosem. - Nie wyjadę, póki się nie dowiem, dlaczego kilka prostych pytań doprowadza cię do szału.

- Nie twoja sprawa.

- Ale tak jest, prawda? I dlatego nie wyjadę.

- Nie mów potem, że cię nie ostrzegałem.

- Och! Ty ostrzegasz mnie bez przerwy! - rzuciła lekko. - Ciekawa jestem, dlaczego!

- Może dlatego, że nie chcę więcej zagadkowych śmierci w Hidden Harbor.

Odwrócił się i niespiesznym krokiem ruszył ku bramie. Molly, nieruchoma jak jeszcze jeden marmurowy nagrobek, odprowadzała go pełnym przerażenia wzrokiem. Nie, nie była w stanie biec teraz za nim i domagać się wyjaśnień. Przecież to szok. Kompletny szok. Czyżby on sugerował, że O'Flannery został zamordowany? Czy też miał na myśli kogoś innego... Cały czas ją ostrzegał, ale teraz jego ostatnie słowa można było zrozumieć jako groźbę...

Potrząsnęła mocno głową. Panikara! Znów dała się ponieść bujnej wyobraźni. Nikt przecież nie zrobi jej żadnej krzywdy za postawienie kilku pytań, nawet trochę obcesowych. Tym bardziej że jeśli ktoś nie zechce odpowiedzieć, będzie milczał. Po prostu.

Jeszcze raz spojrzała na nagrobek. Nie było żadnych kwiatów. Nie wyryto na nim żadnego epitafium, tylko kilka cyfr, przypominających, jak krótkie było życie Michaela O'Flannery'ego. Dlaczego? A tego Molly bardzo chciałyby się dowiedzieć. Nie tylko chciała. Musiała. I czuła, że dopnie swego.

Z rękoma w kieszeniach, pochłonięta własnymi myślami, ruszyła w drogę powrotną przez trawnik do wyludnionej osady. Na ulicy znów nie było żywej duszy. Jakby wszyscy rzeczywiście ukryli się w mysich norach na wieść o przybyciu do osady osoby niemiłej i niepożądaney, praw-

dziwego intruza, czyli Molly Ferrell. Nie, nie wszyscy. Do kogoś ta wieść nie dotarła, pomyślała z ironią, zatrzymując się przed rozświetlonym oknem niewielkiej restauracji „U Binnie”.

Uniosła się nieco na palcach i zerknęła przez szybę. Przytulne wnętrze zapraszało. A więc dobrze. Wyobraźnia wyobraźnią, a może Jake rzeczywiście jest niezrównoważony. Ona w każdym razie ma teraz inny problem. Jest cała zziębnięta i bardzo głodna. Napije się więc gorącej kawy, ale nie tylko kawy. Przedtem poprosi o talerz gorącej zupy.

Pchnęła drzwi i weszła. Przywitał ją szmer głosów, miłe ciepło i przytulne światło. Zanim zamknęła drzwi za sobą, głosy ucichły. Tylko grill dalej syczał i skwierczał.

W małej restauracji siedziało osiem, może dziewięć osób, większość z nich przy długim barze. Teraz wszyscy, naturalnie, gapili się na nią. Pomyślała, że to chyba jedna liczna rodzina. Ta sama krew. Ale kiedy odwrócili się po chwili, uświadomiła sobie, że te twarze są bardzo różne. Nie łączy ich żadne podobieństwo, tylko wypisana na nich niechęć i nieufność. Tak samo nieprzychylnie spoglądała na nią koścista kobieta za barem. Jej usta, pociągnięte zbyt jaskrawą szminką, błyszczały upiornie w świetle jarzeniówek.

- Już zamykamy - odezwała się szorstko.

Molly miała doskonały wzrok, bez trudu

dojrzała na płaskim biuście pięknie wyhaftowane imię „Binnie”. Aha, czyli to sama pani właścicielka. Wzrok Molly pomknął dalej i spoczął na kelnerce. Ta, o dziwo, postawiła tacę na jednym ze stolików i uśmiechnęła się niemal serdecznie.

- Wcale jeszcze nie zamykamy, Binnie - oświadczyła miłym, pogodnym głosem. - Na dworze taki ziąb. Chyba nie odmówimy naszemu gościowi filiżanki kawy?

Molly Ferrell w tym momencie najchętniej znów zamknęłaby za sobą drzwi. Perspektywa podążania do stolika pod obstrzałem tyłu par nieprzychylnych oczu była, delikatnie mówiąc, mało pociągająca. Ale duma nakazała jej pozostać. Duma i determinacja, bo jeśli już teraz da się stąd wykurzyć, nie osiągnie nic. Czyli koniec z wielkimi planami na przyszłość.

- Rób, jak chcesz - rzuciła Binnie niegrzecznym tonem i ostentacyjnie zajęła się grillem.

- Proszę, niech pani sobie usiądzie - odezwała się kelnerka, dla kontrastu bardzo uprzejmie. - Najlepiej tam, w rogu sali. To bardzo zaciszne miejsce.

Jej imię też było wyhaftowane na biuście, dość wydatnym, co bardzo utrudniało odczytanie: Laura Ann albo Laura Jane. Na tym Molly poprzestała, uznając, że niezręcznie jest wpatrywać się zbyt długo w biust obcej kobiety. Tym bardziej że tym ludziom już i tak nastąpiła na odcisk, zjawiając się w Hidden Harbor.

- Dziękuję - powiedziała. Przemaszerowała przez niewielką salę i opadła na krzesło.

Ludzie z Hidden Harbor znów zaczęli rozmawiać, niegłośno, ale nietrudno było się domyślić, że na jeden i ten sam temat, bo co chwila ktoś zerkał na Molly.

Molly zajęła się pilnym studiowaniem menu, nie zdążyła jednak doczytać do końca, ponieważ do stolika podeszła kelnerka. Z dwoma kubkami kawy i życzliwym uśmiechem.

- Witam panią w Hidden Harbor, pani doktor Ferrell - odezwała się miło, sadowiac się na krzesle naprzeciwko. - Proszę nie zwracać na nich uwagi. Kiedy pozna ich pani lepiej, przekona się, że wcale nie są tacy nieuprzejmi.

Po całej sali przeszedł cichy, znaczący pomruk. Laura przezornie zniżyła głos.

- To tylko dlatego, że wszyscy tutaj są zdecydowani chronić pamięć i dobre imię Michaela O'Flannery'ego. A nie wiedzą, w jakim celu pani tu przyjechała.

Molly wypięła łyk kawy. Bardzo ostrożnie, choć zwykle pijała właśnie czarną. Ale ta, oprócz tego, że była czarna, miała jeszcze konsystencję smoły. Dlatego Molly sięgnęła po dzbanuszek ze śmietanką.

- Ale pani rozmawia ze mną. Czy nie będzie pani miała z tego powodu nieprzyjemności?

- Ja?!

Laura uśmiechnęła się szeroko.

- Mieszkam tutaj od urodzenia, panno Ferrell, czyli wystarczająco długo, aby wszyscy do mnie przywykli. A ja jestem, jaka jestem. Robię, co chcę i mówię, co chcę, choćby cały świat był innego zdania.

- Od urodzenia? Czyli znała pani Michaela O'Flannery'ego?

Laura Jane znów uśmiechnęła się.

- Prosto do celu, co? Pani pozwoli, że dam jej jedną dobrą radę. Tutejsi ludzie lubią szczerą, otwartą rozmowę, ale pani, jeśli naprawdę chce się czegoś dowiedzieć, niech trochę zwolni. My tak łatwo nie zdradzamy swoich sekretów.

Molly, objawszy palcami gorący kubek, pomilczała chwilę, na znak, że owszem, nieco zwalnia tempo.

- Czyli... są jednak jakieś sekrety? - spytała ostrożnie.

- Och, każdy ma jakieś sekrety - Laura lekceważąco machnęła ręką. - A co do Michaela O'Flannery'ego, to owszem, znałam go. I kochałam się w nim na zabój, jak zresztą cała populacja płci żeńskiej Hidden Harbor, niezależnie od wieku. Był przecież taki piękny, romantyczny i wiecznie czymś udręczony. Pani prawdopodobnie też jest w nim trochę zakochana.

Molly aż drgnęła, zaskoczona. W ciągu niespełna godziny już druga osoba zarzuciła jej, że kocha

się w Michaelu O'Flannerym. A ona co najwyżej była w nim głupio zadurzona. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że było to tak oczywiste. I w sumie żałosne.

- Być zakochanym w kimś, kto umarł, to chyba strata czasu, prawda? - mruknęła i wypiała łyżeczek kawy, starając się przełknąć gładko smolistą substancję.

- Nie byłaby pani ani pierwsza, ani ostatnia! A tak przy okazji, jestem Laura Jane Twitchell. Właścicielka zajazdu to moja teściowa. Tutaj większość ludzi jest ze sobą spokrewniona lub spowinowacona.

- Aha. Czyli to wyjaśnia fakt istnienia nagrobka na cmentarzu prezbiteriańskim. Bo ja sądziłam, że cała rodzina O'Flannery'ego już nie żyje.

- I to prawda. Wszyscy jego najbliżsi umarli przed nim. Nagrobek ufundowało miasto...

Nagle zamilkła, ponieważ do restauracji wkroczył nowy gość. Jake. Szmer rozmów znów ucichł i wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na niego. Potem na Molly, potem znów na niego. Jakby był to jakiś makabryczny mecz w tenisa.

Jake spojrział na Laurę. Wystarczyło, żeby zerwała się z krzesła.

- Koniec przerwy - oznajmiła z uśmiechem.
- Witaj, Marley! Co podać?

- Święty spokój - mruknął zjadliwie, ale to wcale nie zraziło pogodnej kelnerki.

- Trochę dziś u nas ciasno - stwierdziła. - Może przysiądziesz się do pani doktor Ferrell?

W tym momencie wszyscy pozostali goście wydali z siebie jakby jedno gremialne westchnienie, pełne dezaprobaty. Molly z trudem powstrzymała śmiech. Bo i co oni sobie właściwie wyobrażają? Że ten ich cały Jake to jakiś arcykapłan, pilnujący Wiecznego Ognia, który nie poniży się do tego stopnia, żeby usiąść przy jednym stole właśnie z panną Ferrell? A może to sam wyznaczył sobie tak wysoką pozycję?

Jake zignorował propozycję Laury. Usiadł przy barze, odwracając się do Molly plecami.

- Laura Jane, może ruszysz już ten swój tłusty tyłek?! - warknęła Binnie. - Ludzi pełno, a ty tylko mielesz ozorem i mielesz!

- Mojego tyłka ty się nie czepiaj - odparowała cios wcale nie speszona Laura. - Chciałybyś mieć taki!

- Wystarczyłaby mi połowa!

Siedzący przy barze goście zareagowali przytłumionym śmiechem. Przypuszczalnie był to stały dialog, który zawsze ich rozbawiał. I dobrze, bo dzięki temu przynajmniej na chwilę zapomnieli o obecności Molly.

Rozsiadła się wygodniej w krześle i przemknęła wzrokiem po całej sali. Zarówno Laura Jane, jak i Binnie miały pod czterdziestkę, a może już ją przekroczyły. Laura Jane powiedziała, że wszyst-

kie kobiety w Hidden Harbor podkochiwaty się w Michaelu O'Flannerym. Czyli również Binnie. Czyżby Jake, wspominając o kochankach Michaela, miał na myśli właśnie te kobiety?

Laura Jane jest bardzo miła i wcale nie przejmuję się, że reszta gości w tym lokalu ignoruje Molly. A więc ona też nie będzie się tym przejmować. Ci ludzie spuszcza z tonu, kiedy dotrze do nich, że nie zamierza nikomu zrobić przykrości, ani żywym, ani martwym. Po prostu trzeba być cierpliwym i czekać, aż języki się rozwiążą. Molly, jako osoba trzeźwo myśląca, nie liczyła na pojawienie się ducha Michaela O'Flannery'ego, dzięki czemu miałyby możliwość uzyskania informacji z pierwszej ręki. Mogła liczyć tylko na żywych, na ich wspomnienia.

Tylko na żywych, o tak. Żadnych przeźroczystrych stworów, duchów pobrzękujących łańcuchami i wydających z siebie upiorne jęki. Michael O'Flannery, gdyby zamierzał przybyć tu z zaświatów, powinien się całkowicie zmateriałizować.

Omam nie kopnęła siebie w kostkę. Chyba zgłupiała do reszty, śniąc na jawie o zmateriałizowanych duchach. Chociaż w jakiś sposób jest usprawiedliwiona, skoro przez lata całe karmiła się fantazjami na temat O'Flannery'ego. Zdarzyło jej się nawet kilka snów o zabarwieniu erotycznym, ale z tego powodu też nie będzie się kajać.

W końcu młodziotka dziewczyna nie ma wpływu na swoją podświadomość.

Teraz jednak stop. Dość tych bzdur. Bo pominiawszy wszystko, CFlannery, gdy odbierał sobie życie, miał lat dwadzieścia. Jego zmaterializowany duch byłby dokładnie w tym samym wieku. Czyli Molly Ferrell i dwudziestolatek... O, nie!

Spojrzała na szerokie plecy Jake'a, opięte znoszoną flanelową koszulą. Ciemne włosy, zbyt długie, przetkane były przedwczesną siwizną. A palce, obejmujące kubek, długie i smukłe. Piękne...

Do cholery! To z kim ona w końcu zamierza się przespać?! Z duchem dwudziestolatka czy z realnym facetem, dużo od niej starszym i właściwie gburem?

Z nikim. Na nikogo nie ma ochoty. Seks zawsze wiąże się z kłopotami. Po co więc utrudniać sobie życie dla chwilowej przyjemności? O tym nigdy nie wolno zapominać.

Laura Jane nie przynosiła rachunku. Molly zmuszona była osobiście podejść do baru, a dokładniej, wsunąć się w jedyne wolne przy nim miejsce, tuż obok nieruchomej postaci Jake'a.

Nawet nie drgnął, kiedy otarła się o niego. Naturalnie, niechcący. To otarcie odczuła dziwnie intensywnie, choć miała na sobie gruby wełniany sweter. Tak intensywnie, że kiedy do kontuaru podeszła Laura - Binnie nadal demonstracyjnie zajęta była grillem - Molly miała pew-

ne trudności z wydobyciem z siebie głosu. Musiała odchrząknąć. W końcu nic dziwnego, że była spięta, skoro od kilkunastu minut stawiała czoło nieprzyjaznej grupce miejscowej ludności. A ten humorzasty facet obok nie miał tu nic do rzeczy.

- Ile jestem winna za kawę?

- Nic - rzuciła radośnie Laura Jane. - Dzisiaj kawa na koszt firmy. Serdecznie witamy w Hidden Harbor!

- A... dziękuję - mruknęła Molly, starając się zignorować jednocześnie dwa odczucia. Wrogość, emanującą z mężczyzny siedzącego obok na wysokim stołku, oraz dziwną falę ciepła, przepływającą właśnie przez jej ciało.

- Proszę do nas jeszcze zajrzeć! - zawołała Laura, kiedy Molly wychodziła w zimną ciemność nocy.

Binnie, naturalnie, chrząknęła tylko, bardzo znacząco i bardzo głośno.

Kiedy drzwi zamknęły się za Molly, przed Jakiem, po drugiej stronie kontuaru pojawiła się Laura Jane. Z tą swoją miną, którą znał aż za dobrze.

- Przestań! - rzucił opryskliwie.

- A co mam przestać? - spytała.

- Przestań patrzeć tak na mnie! Ja po prostu próbuję ją stąd wykurzyć!

- W takim razie robisz wszystko dokładnie na odwrót. Bo nic tak nie wzbudza zainteresowania u kobiety, jak odrobina tajemniczej nienawiści. Chyba, że ty tego właśnie chcesz?

Laura Jane przez całe swoje życie była niepoprawną romantyczką, nie zmieniło tego ani zamążpójście, ani liczna gromadka dzieci.

- Ona musi stąd wyjechać, zanim dowie się czegoś, o czym nie powinna wiedzieć.

- Rozumiem. Ale ty źle się o to starasz. Zachowujesz się tak, jakbyś miał coś do ukrycia. Jakbyśmy wszyscy mieli coś do ukrycia. A najlepszy sposób, żeby uspić jej czujność, to zwykła życzliwość. Usłużność. Nie nadymać się, nie tępić. Niech pyta, o co chce, bardzo proszę. I udzielać dowolnej odpowiedzi. Już kto jak kto, ale ty potrafisz fantazjować, Jake. Zaserwujesz jej kilka smakowitych kąsków, które ona przełknie gładko i w całości. I z tym wszystkim pojedzie sobie w siną dal. Pamiętaj tylko, bądź dla niej grzeczny i chętny do współpracy.

Jake skrzywił się.

- A może ja nie mam ochoty jej rozpieszczać?

- A może jednak masz i między innymi na tym właśnie polega twój problem. Znam cię od małego, Jake. Niczego przede mną nie ukryjesz. Ona ci się podoba.

- Ona? Bzdura. Uparta jest jak muł.

- Ty też. Dlatego pasujecie do siebie jak ulał.

- Ona i ja? Wiesz co, kobieto? Lepiej zejdź mi z oczu, i to jak najprędzej!

Laura Jane uśmiechnęła się szeroko.

- Już sobie idę, jeszcze tylko jedna rada. Nie śpij z nią. To nie najlepszy pomysł.

- O czym ty mówisz? Nie mam zamiaru jej tknąć! Ale wyjaśnij mi, dlaczego ten pomysł miałby być taki zły?

- Ponieważ seks zwykle wiąże się z pewnymi komplikacjami. Chodzi mianowicie o zwykłe pytanie: co dalej? A ty, drogi chłopcze, nie jesteś typem, który kocha i rzuca, chociaż chciałbyś taki być. Dlatego, jeśli nie chcesz reszty życia spędzić z Molly Ferrell, postaraj się zachować wstrzeźliwość. Skup się wyłącznie na sprawie podstawowej. Nagadaj jej różnych historyjek i postaraj się, żeby wyjechała z Hidden Harbor.

- Jak jesteś taka mądra, to może sama ją do tego zmusisz!

- Ja? Dlaczego ja? To ty masz istotny powód, żeby nie doszła prawdy. W czym więc problem, Jake? Boisz się, że zawróci ci w głowie?

- Nie zawróci. Ona nie jest w moim typie.

- Nie w twoim typie?

Laura Jane roześmiała mu się prosto w nos.

ROZDZIAŁ TRZECI

Po siedmiu dniach, spędzonych w Hidden Harbor, Molly nie była już tak pełna optymizmu. Jake dotrzymał słowa. Chodził za nią jak cień i nawet jeśli któryś z tubylców wydawał się być skłonny do rozmowy, wystarczyło, że zerknął na Jake'a i już nabierał wody w usta.

Nawet Laura Jane Twitchell, niby taka życzliwa, była dziwnie nieuchwytna. Jej teściowa, Marjorie, też w niczym nie pomogła i w rezultacie, kiedy pierwszy tydzień dobiegł końca, Molly była gotowa się poddać. Bo nawet jeśli ktoś coś tam bąknął, oznaczało to zwykle „nie”. Nikt nie miał pojęcia, gdzie mieszkał Michael O'Flannery, nikt nie mógł sobie niczego o nim przypomnieć, jednym słowem - powszechna amnezja.

Najgorszy ze wszystkich był, naturalnie, Jake. Był natrętny, nie odstępował jej na krok. Ale to Molly mogłaby jeszcze jakoś przeżyć, gdyby on

przy okazji nie patrzył na nią tak dziwnie. Oczywiście, tylko wtedy, kiedy sądził, że ona tego nie widzi. Molly, naturalnie, dostrzegała te jego spojrzenia i zastanawiała się w duchu, cóż one mogą wyrażać. Antypatię czy zażenowanie? A może oba te uczucia na raz.

Poza tym przydarzyło jej się jeszcze coś - coś o wiele gorszego. Miała sen, niestety, o zabarwieniu erotycznym. I nie były to żadne senne fantazje o Michaelu O'Flannerym, byronowskim, demonicznym kochanku. Nie. Do jej sennych marzeń wdarł się cieśla Jake we własnej osobie, czyli po prostu znalazł się w jej łóżku. A tego to już ona naprawdę się nie spodziewała. Kiedy rano obudziła się prawie bez tchu i zlana potem, obraz Jake'a nadal miała pod powiekami.

Czy dlatego, że doskonale wiedziała, jak wyglądać Twarz Michaela O'Flannery'ego, której rozmaite warianty przerabiała od lat, była tylko imaginacją. A Jake był realny, z krwi i kości, zdążyła ponadto już zauważyć, że na swój szorstki, gniewny sposób jest po prostu wspaniałym facetem. Poza tym w ciągu dnia zwykle przebywał gdzieś w pobliżu, nic więc dziwnego, że jej podświadomość podsunęła jej właśnie jego wizerunek.

Zegar pokazywał parę minut po szóstej. Molly zwykle budziła się o tej porze. W małym pokoju na pięterku starego zajazdu było ciemno

i chłodno. Pani Twitchell na pewno spała jeszcze głęboko, dom ożywał dopiero po ósmej. A Molly niczego teraz bardziej nie pragnęła niż kubka gorącej, mocnej kawy i swoje pragnienie postanowiła spełnić.

Zerwała się z łóżka, i tak jak stała, czyli tylko w ukochanej flanelowej koszuli nocnej, rażnym krokiem zeszła do kuchni. Za progiem trochę zwolniła, zastanawiając się w duchu, czy nie powinna wrócić na górę i narzucić na siebie coś cieplejszego.

W tym momencie jej nos wyłowił upragniony aromat.

- Kawa! - szepnęła instynktownie i aż jęknęła z zachwytu, wyrażając tym tęsknotę za boskim napojem. Jęk był zdecydowanie cichy i dyskretny, dostatecznie jednak głośny, żeby mężczyzna, urzędujący o poranku w kuchni, drgnął i odwrócił się twarzą do niej.

Poznała go od razu. To był Jake, oczywiście.

- Kawa stoi na kuchence - powiedział.

- Trutka na szczury? - spytała, spoglądając na niego podejrzliwie.

- Tak. Palona we Francji.

Znów jęknęła. Jake poruszył się niespokojnie, jakby te jej jęki dziwnie go niepokoily. I milczał, zamiast więc toczyć z nim szermierkę słowną, mogła sobie na niego przez chwilę popatrzeć. Był absolutnie wspaniały, miał piękne ciemnoniebies-

kie oczy, prosty wydatny nos i dziwnie słodko wyglądające usta. Wysoki i szczupły, ale jego ramiona miały odpowiednią szerokość, biodra zaś były odpowiednio wąskie. Był po prostu uosobieniem tego, co ona uważała za atrakcyjne w mężczyźnie. Nic dziwnego, że ją denerwował. Fakt, że w tak wspaniałym mężczyźnie budzi się antypatię bez jakiegoś oczywistego powodu, musiał co najmniej wprawiać w zakłopotanie.

- Czy to zawieszenie broni? - spytała, siląc się na dowcip i ruszyła w stronę kredensu w poszukiwaniu kubka.

Jake minął ją i sięgnął ręką ponad jej głowę. Znalazł się stanowczo zbyt blisko Molly.

- Proszę - powiedział, wręczając jej gliniany kubek ręcznej roboty.

Ostrożnie podniosła wzrok. Tak. Jake był stanowczo zbyt blisko. Jeśli miał zamiar zastraszyć ją swoimi okazałymi rozmiarami, w jakimś stopniu to mu się udało. Chociaż lęk nie był jej jedyną reakcją. Raczej reakcją drugorzędną, zdecydowanie gdzieś w tle.

Speszona, wycofała się parę kroków. Nikły uśmiech, który teraz pojawił się na twarzy Jake'a, jakoś wcale nie dodawał jej otuchy.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział.

- To znaczy, jak?

- Jakbym co najmniej mordował ludzi siekierą!

Przecież próbuję być dla ciebie miły.

- Miły? Co za niespodzianka? Skąd się wzięła ta zmiana?

- Ponieważ dotarło do mnie, że ty tak łatwo się nie poddajesz. Nie ma sensu zbywać cię byle czym, to tylko wzmacnia twoją ciekawość. Krótko mówiąc, jestem gotów do współpracy, jak zresztą i inni mieszkańcy naszej osady. Pytaj, o co chcesz.

Przez chwilę milczała, wpatrzona w pusty kubek, dyndający na jej palcu.

- A dokładnie, co spowodowało, że zmieniłeś zdanie?

Jake wziął nieco obtłuczony już dzbanek i nalał jej kawy.

- Doszedłem do wniosku, że jeśli nie będziemy z tobą współpracować, zrobisz się jeszcze bardziej podejrzliwa. A to może być brzemiennie w skutkach. Na przykład dojdiesz do wniosku, że Michael został zamordowany i zaczniesz szukać potencjalnych sprawców.

- A został... zamordowany?

Wypiła łyk kawy. Była bardzo dobra, a do tego pięknie pachniała. Raczej rzadkie połączenie. Dlatego znów jęknęła, tym razem z wielkiej przyjemności.

- Przestań! - rzucił ostro Jake.

- Powiedziałaś, że mogę pytać, o co chcę.

- Możesz. Ale przestań tak jęczeć i wzdychać nad tą kawą. Jakbyś miała orgazm.

Molly cofnęła się jeszcze o krok. Zwykle takie

śmiałe uwagi nie peszyły jej, ale teraz, w tej szarości poranka, słowa Jake'a zabrzmiały niepokojąco erotycznie.

- Przepraszam - mruknęła. - Nigdy nie traktowałam kawy w takich kategoriach.

Jake nie odpowiedział. Oparł się o kontuar i po prostu patrzył na nią. Chyba nawet znów się leciutko uśmiechnął.

- Co chcesz wiedzieć o Michaelu? - spytał po chwili.

- Wszystko. Co kochał, czego nienawidził. Gdzie sypiał, co jadł, gdzie umarł. Dlaczego się zabił, co stało się z jego rodziną...

- Tylko tyle? - spytał Jake zjadliwie, wyraźnie zdegustowany - Zdaje się, że temu biedakowi nawet po jego śmierci nie pozwoliś na odrobinę prywatności. A jeśli interesuje cię, dlaczego się zabił, to przeczytaj sobie jego list pożegnalny. Na pewno będziesz mogła do niego dotrzeć, ten list nie jest już prywatną własnością!

- Jest! Należy do mnie.

- Co?!

- Parę lat temu kupiłam ten list na aukcji. Mam go teraz ze sobą.

I znów przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Ty jesteś chyba chora...

- Chyba jednak się mylisz - zaprotestowała, dotknięta do żywego. - To należy do obszaru

moich badań. Chcę napisać książkę o O'Flanerym, dlatego kupuję wszystko, co jego dotyczy. Wszystko, jeśli, oczywiście, leży to w granicach moich możliwości.

- Rozumiem. I wozisz to ze sobą? Może jeszcze zabierasz ze sobą do łóżka?

Jego sarkazm po prostu wkurzał.

- Nie bądź śmieszny! Nie rozumiem, skąd ta aluzja. Moje zainteresowanie Michaeliem O'Flanerym ma charakter czysto naukowy...

- Naukowy?! Przecież ty masz na jego punkcie prawdziwego bzika!

Oderwał się od kontuaru. Niestety, ona również w tym samym momencie zdecydowała się ruszyć z miejsca. Na szczęście nie wpadła na niego całym impetem. Zrobiła to w miarę delikatnie. Dwa ciała zetknęły się tylko na ułamek sekundy, a mimo tego było to nieprawdopodobnie erotyczne przeżycie. Molly natychmiast nerwowo odskoczyła w tył.

- Nie sędzę - oświadczyła chłodno. - Jestem osobą zbyt praktyczną, żeby karmić się marzeniami o zmarłym poecie.

- Tylko tak mówisz! I nie jesteś wcale pierwsza. Po jego śmierci zaczęło przyjeżdżać tu mnóstwo kobiet, najprzeróżniejszych. Każda chciała zapłakać nad jego grobem i rzucić kwiaty do oceanu. W knajpie „U Binnie” prowadziliśmy nawet coś w rodzaju punktacji. W miarę upływu

lat liczba wielbicielek zmniejszała się. Od dłuższego czasu żadna już tu się nie pojawiła. Dopiero ty. Powiedz mi, dlaczego nie pozwoliś zmarłemu spoczywać w spokoju?

- A skąd ty wiesz, czy on spoczywa w spokoju? Przecież popełnił samobójstwo!

- Owszem. Zabił się właśnie po to, żeby mieć święty spokój, którego na ziemi nie zaznał.

- Znałeś go, prawda?

- To bardzo mała osada. Trudno, żebym go nie znał.

- Byliście chyba rówieśnikami. Ile ty masz lat, Jake?

- Czterdzieści pięć - powiedział bez mrugnięcia okiem. - A ty?

- To nie twoja sprawa, ale mogę ci powiedzieć. Jestem już po trzydziestce.

Nie rozumiała, z jakiego to powodu udzieliła mu tej informacji.

- Za młoda dla mnie.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- To, co słyszałaś. Dla O'Flannery'ego chyba też za młoda, choć on, kiedy umarł, był jeszcze dzieciakiem. Depresyjną bombą testosteronu, taplającą się w tragedii i pięknych słowach. Na pewno spodobałaby mu się jego legenda.

- Więc dlaczego jesteś tak wrogo do mnie nastawiony? Ja przecież chciałabym przywrócić pamięć o nim.

- Dla niego może i lepiej, że odszedł w zapomnienie.

- Tak sądzisz? A czy ty w ogóle czytałeś jego rzeczy? - rzuciła ostrym głosem. - On pisał przepięknie, wzruszająco. Za każdym razem, kiedy czytam jego książki, zbiera mi się na płacz. I ty chcesz, żeby taki pisarz został całkowicie zapomniany?

Jake jęknął, Molly, niezrażona, dokończyła swoją kwestię.

- Kto wie, do czego by doszedł, gdyby żył!

- No to ja ci powiem, do czego by doszedł! Napisałby jeszcze z tuzin tych swoich ponurych powieści, w sumie bardzo podobnych do siebie. Wydał tomik wierszy, może nawet dwa i na tym koniec. Resztę życia spędziłby w którymś z college'ów z Ivy League*, zapoznając kolejne roczniki studentów z tajnikami swej ponoć mistrzowskiej prozy.

Ta wizja wstrząsnęła Molly.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo znałem go dobrze przez całe jego krótkie życie. To był facet nie z tej planety, kompletnie nieprzystosowany. Zbyt bystry i wrażliwy, żeby jemu samemu było z tym dobrze. Ludzie tacy jak on nie egzystują zbyt długo w realnym świecie.

Znów szok. Skąd u zwykłego cieśli tak wyro-

* Zespół znakomitych uczelni w pin.-wsch. USA, m.in. uniwersytety Yale, Harvard i Princeton.

bione zdanie na temat człowieka pióra i jego ewentualnej przyszłości? Skąd w ogóle tyle wiedzy u cieśli? Bo ten cieśla, jak się wydaje, wie bardzo dużo. I mówił dalej, tym razem udając ton cierpiętniczy.

- Posłuchaj, Molly. Ja ci pomogę. Pokażę ci, gdzie mieszkał O'Flannery, postaram się odpowiedzieć na każde twoje pytanie. Mam tylko jedną prośbę. Pośpiesz się z tym. Chcę, żebyś wyjechała stąd jak najprędzej.

- Dlaczego?

- Bo ty tutaj nie pasujesz. A O'Flannery dawno umarł. Nie ma żadnego powodu, żebyś zagrzewała tutaj miejsce.

- Zgoda. Nie będę niczego przedłużać. Kiedy dowiem się wszystkiego, natychmiast stąd wyjadę. Od czego więc zaczynamy?

Jake nie odzywał się. Zmienił tylko pozycję. Oparł się o drewniany kontuar i skrzyżował ramiona na piersi. Miał na sobie starą flanelową koszulę, wyblakłą, na pewno praną już z tysiąc razy. Wyglądała na mięciutką, czyli na coś, w czym Molly sypiała najchętniej...

A niech to... Dlaczego ona znów pomyślała o sprawach związanych z łóżkiem? Za każdym razem, kiedy ten cholerny facet jest w pobliżu, jej wyobraźnia zaczyna wariować.

- Może zaczniemy już dzisiaj, Jake? O ile nie musisz jechać do pracy...

- Nie muszę. Zawsze mogę zrobić sobie wolne. Jeszcze jedna korzyść, kiedy jest się na własnym rozrachunku. A poza tym ja naprawdę chcę, żebyś swój pobyt w Hidden Harbor ograniczyła do minimum. Radzę ci z dobrego serca. Zima za pasem, a tacy ludzie jak ty, ludzie z miasta, nie zdają sobie sprawy, że nad oceanem potrafi być okropnie zimno. Wieje mroźny wiatr... a śnieg zaczyna padać bardzo wcześnie...

- A skąd wiesz, że ja o tym nie wiem? Może wiem, ale to nieważne. Nie obawiaj się, nie planuję spędzania zimy nad oceanem.

Reasumując, nadal była dla niego jak cień w oku, choć usilnie starał się być uprzejmy. Ale ona i tak robi swoje. Wyjedzie stąd wtedy, kiedy sama uzna to za stosowne. A przedtem wykorzysta do maksimum Jake'a i jego nagłą gotowość do współpracy. W końcu on sam tego chce.

Wypiła swoją kawę do dna i uśmiechnęła się słodko i niewinnie.

- Najpierw chciałabym zobaczyć dom, w którym mieszkał.

- Da się zrobić.

- Znasz obecnych właścicieli? Wpuszczą mnie do środka?

- Nie ma żadnych właścicieli. Ten dom od lat jest zamknięty.

- A jak zdobyć klucz?

Wydawało jej się, że Jake nad czymś się za-

stanawia. W każdym razie pomilczał chwilę, po czym skinął głową.

- Mam ten klucz. Myślę, że mogę cię wpuścić do środka, ale nie spodziewaj się Bóg wie czego. Nie znajdziesz tam nic interesującego. On przecież nie żyje od dwudziestu lat. Ale skoro chcesz, zawiozę cię dziś do Crab Tree Lane i pokażę dom O'Flannery'ego. Możemy jechać choćby zaraz. Przedtem jednak chyba będziesz chciała się w coś ubrać.

Spojrzała na swój brzuch i zakląła w duchu. Tę całą pogawędkę z cieślą Jakim odbyła przecież w stroju bardziej niż niedbałym, czyli w obszernej koszuli nocnej, liczącej co najmniej pięć lat. Koszuli ze starej spranej flaneli, wypłowiałej i miękkiej jak koszula Jake'a.

Policzki Molly oblał krwisty rumieniec, ale nie miała zamiaru się poddać. Wyprostowała się, skrzyżowała ramiona na piersiach i spokojnie wytrzymała jego ironiczny wzrok.

- Może i tak - rzuciła enigmatycznie, czym większość mężczyzn doprowadziłaby do szału. Ale nie Jake'a.

- Świetnie - powiedział. - Ty, zdaje się, jesteś po raz pierwszy w Nowej Anglii?

- Dlaczego pytasz? - spytała czujnie.

- Dla mężczyzn z Maine flanelowa koszula nocna jest tak samo seksowna jak koronkowa bielizna. Na widok kobiety w takiej koszuli

najbardziej powściągliwy facet dostaje fioła, będzie latał za nią jak pies za suką w rui.

- Trzeba ci przyznać, że potrafisz bardzo obrazowo odmalować sytuację - stwierdziła pogodnym głosem. - Co za szczęście, że przynajmniej ty jesteś odporny na moje wdzięki.

Spojrzała mu w prosto w twarz. Dokładniej - w oczy. I to był błąd. Bo jej spojrzenie jakoś dziwnie nie chciało się oderwać od ciemnoniebieskich oczu Jake'a. Serce biło coraz szybciej, pojawiły się trudności z oddychaniem. Owładnął ją bezruch, kompletny bezruch, który przeciągał się, a jednocześnie napięcie rosło.

Pierwszy drgnął Jake.

- Faktycznie - powiedział. - Dziwne, przecież też jestem z Maine.

Podszedł do drzwi.

- Przyjadę po ciebie o dziewiątej.

Zamknął drzwi za sobą. Molly z głośnym świstem wypuściła powietrze. Było jej jednocześnie i zimno, i gorąco. No, bo kto by się spodziewał, że stara flanelowa koszula może być prowokująca! Nie do wiary! A może Jake chciał tylko zrobić z niej idiotkę? Zapowiedział przecież, że dołoży wszelkich starań, żeby wykurzyć ją z Hidden Harbor jak najprędzej.

Niech się stara. Ona i tak będzie nieprzemakalna. Nie ucieknie stąd, nawet jeśli on będzie próbował ją czymś zastraszyć. Nie ma zamiaru

porzucać Michaela O'Flannery'ego, dopóki sama nie uzna, że jest na to gotowa.

Gotowa do wyjazdu. Niezależnie od tego, jak bardzo pociągający jest stary przyjaciel O'Flannery'ego, niejaki cieśla Jake.

Jake, podążając pustymi ulicami do knajpki Binnie, kłął w duchu. Jest niedobrze, bardzo niedobrze. Ta kobieta powinna wyjechać stąd jak najprędzej. Im dłużej tu zostanie, tym większy kłopot. Z różnych powodów, także z tego, że ta kobieta cholernie na niego działa. Jak żadna dotąd, a jeśli już, to może jedna lub dwie kobiety też tak na niego działały. Nie więcej. Swoją reakcję mógłby tłumaczyć zwyczajnym libido. W Hidden Harbor mieszka od zawsze, tutejsze kobiety stanu wolnego były mu dobrze znane. Przeżył też kilka przygód z przypadkowymi turystkami, które wpadły mu w oko, zawsze jednak dbał o to, żeby nie angażować się emocjonalnie. Turystki zresztą i tak po pewnym czasie musiały wyjechać, jeszcze zanim sytuacja stawała się kłopotliwa.

Z Molly sytuacja była wyjątkowo kłopotliwa, choć szczerze mówiąc, on sam tak naprawdę nie wiedział, dlaczego właśnie ta profesorka tak bardzo załaziła mu za skórę. Mimo że była wręcz żałosna. Przecież ona nawet nie wiedziała, jak

wyglądał O'Flannery, a była w nim zakochana po uszy. Jego pożegnalny list wozila wszędzie ze sobą. Nie, z tą kobietą wyraźnie coś jest nie w porządku. Czy ona nie może znaleźć sobie kogoś żywego, z kim mogłaby realizować te swoje romantyczne tęsknoty? On na pewno potrafiłby wybić jej te głupoty z głowy. Zdarłby z niej ubranie i...

I niech to szlag! Teraz to on ma głupoty w głowie. Zamiast czuć niechęć do kobiety, zakochanej w umarlaku, sam gotów jest się w niej zakochać. Powinien wziąć przykład z Binnie. Ona Molly skreśliła od razu. On powinien zrobić to samo, bo takie kobiety jak Molly Ferrell nie są dla niego odpowiednie. Ale pozbycie się Molly Ferrell też nie wydawało mu się odpowiednie.

Nieodpowiednie, ale konieczne. Nikt nigdy dotąd nie stanowił tak poważnego zagrożenia dla jego starannie skonstruowanego życia. Dlatego musi jej się pozbyć, choćby dzisiaj, jeśli zajdzie taka potrzeba. Każda metoda będzie dobra. Bo Molly Ferrell, prędzej czy później, i tak dojdzie prawdy.

Dowie się, że to on, tylko on ponosi całkowitą odpowiedzialność za smutny los Michaela O'Flannery'ego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

O dziewiątej całe Hidden Harbor tętni życiem. Tak stwierdziła pani Twitchell, wyruszając na swój codzienny obchód po sklepach, podobno już otwartych. W porcie natomiast było puściusieńko, wszystkie łodzie już o świcie wypłynęły w morze. A przed starym zajazdem, punktualnie o dziewiątej, czekał Jake, oparty o starą, zarzewiałą ciężarówkę, pamiętającą lepsze czasy.

- Wsiadaj, Molly!

- Nie! - zaprotestowała natychmiast. - Wolę niezależność. Pojadę za tobą moim samochodem.

Jake wzruszył ramionami.

- Rób, jak chcesz. Ale ostrzegam. Droga jest wyboista, a ty nie masz napędu na cztery koła.

Jak zwykle, straszyl. Ona, jak zwykle, nie zamierzała dać się spłoszyć.

- Jestem pewna, że świetnie sobie poradzę. W Michigan drogi też mamy nie najlepsze.

- Jesteś z Michigan? Dziwne. Wcale nie mówisz jak człowiek z nizin.

- Bo urodziłam się nad samym oceanem, w Rhode Island. Ale od wielu już lat mieszkam w głębi kraju.

- Prawdopodobnie nie masz oceanu we krwi. Większość ludzi, urodzonych nad oceanem, nawet jeśli jakiś czas szwenda się po świecie, w końcu i tak tu powraca. Podobno to taki pierwotny instynkt. Ma się to w genach. Ale ty chyba pozbawiona jesteś tego genu...

Nie miała zamiaru zawracać sobie teraz głowy zaprzeczaniem i wyjaśnianiem. Tym bardziej że życzyłaby sobie z całego serca, żeby Jake w tej sprawie akurat miał rację. Niestety, było inaczej. Bo ona miała to w genach i teraz, im dłużej przebywała w Hidden Harbor, im więcej dni i nocy spędzała w staroświeckim pokoiku z widokiem na ocean, tym bardziej przykra stawała się myśl o powrocie do Michigan. Co z tego, że mnóstwo tam rozległych przestrzeni i wielkich jezior. To tylko Michigan.

- Masz zamiar jechać w tym, co masz na sobie? - spytał ostrym głosem Jake.

Czemu nie? Na wyprawę w teren nałożyła swoje najstarsze džinsy i T-shirt z długimi rękawami.

- A co ci się nie podoba? Koszulę nocną zdjęłam. I nie mów mi, że tutejsi faceci też dostają fiola na widok starych džinsów!

- Zależy, kto ma je na sobie.

- Och! Coś mi się wydaje, że ktoś tu zgrywa się na twardziela! Jeśli to twój styl, trudno, ale dla mnie tak zachowują się wieśniacy!

Była prawie pewna, że Jake wskoczy teraz do soferki i odjedzie z piskiem opon, ich zawieszenie broni stało jeszcze na bardzo glinianych nogach. Dlatego żałowała, że tak palnęła. Przecież nie chciała go do siebie zrażać, byłoby to nadzwyczaj nierozsądne. Czekwała więc teraz cichutko na konsekwencje. Na pewno obdarzy ją zaraz przy najmniej płonąącym spojrzeniem pełnym złości.

Głośny śmiech, który nagle naruszył ciszę poranka, był absolutnym szokiem.

- To działa na turystki, rozumiesz - powiedział bardziej już przyjaznym głosem. - Lubią, kiedy facet jest zdecydowany.

- Ja nie dam się tak łatwo nabrać.

- Pożyjemy, zobaczymy. A teraz załóż jeszcze jakąś bluzę albo żakiet. Jedziemy nad zatokę Claussena, a tam zawsze jest bardzo zimno.

- Nic mi nie będzie. Jestem bardzo wytrzymała na chłód. A upałów nienawidzę.

- Nie lubisz, kiedy jest gorąco?

Powiedział to jakoś inaczej, miło, ale i dwuznacznie, jakby z pewnym erotycznym podtekstem. Co, jak zwykle, należało złożyć na karb jej bujnej wyobraźni. Tym bardziej że wzrok Jake'a był doskonale obojętny.

- Jedziemy? - spytała w końcu.

- Tak ci pilno? Nie bój się, O'Flannery nigdzie nie ucieknie. A dom dziesięć lat temu zamknięto na cztery spusty. Nikt tam niczego nie tknął - rzucił szorstko, ale ruszył się z miejsca. Zgrabnie wskoczył do szoferki.

Molly musiała przyznać w duchu, że widok był przyjemny. Facet potrafił się poruszać. Do zwinności kota było mu co prawda daleko, ale ruchy miał bardzo zręczne. I wyczuwało się w nich męską siłę. Gdyby udało się jeszcze jakoś odmienić jego ponurą osobowość, byłby to facet całkiem do rzeczy. Niestety, tę jego osobowość trudno było pominąć, tym bardziej że jej fatalne oddziaływanie cały czas odczuwała na sobie.

Milczące dywagacje Molly przerwał zniecierpliwiony głos, dobiegający z góry, z szoferki.

- Jedziemy?

Wiatr znad oceanu był coraz bardziej porywisty. Ale po tych głupich uwagach Jake'a nic na świecie, nawet najcięższa zamieć, nie zmusiłaby jej teraz do powrotu do pokoju po żakiet. Poza tym mieli oglądać dom w środku, czyli będą przebywać w pomieszczeniu.

Jeśli chodzi o drogę, Jake nie kłamał. Była wyboista. Jak diabli. Głębokie koleiny w błocie pozamarzały w nocy, tworząc niezliczoną ilość kraterów i kanionów, których pokonanie wymagało nadludzkiego poświęcenia. Przy każdym

mocniejszym wstrząsie Molly odliczała sobie od długości swego życia kolejny miesiąc - takie męczarnie nie mogły się nie odbić niekorzystnie na jej organizmie. Goniła resztkami sił, wściekła, choć musiała przyznać w duchu, że ta koszmarna sytuacja miała jeden plus. Przynajmniej nie była uwięziona w szoferce starej, zdezelowanej ciężarówce. Nie musiała przebywać w bezpośredniej bliskości Jake'a. I była z tego zadowolona. Bardzo zadowolona.

Dlaczego? Sama chciałaby to wiedzieć.

A niech to... Przecież zawsze starała się być wobec siebie uczciwa, niechże teraz nie będzie inaczej! Przecież wie doskonale, dlaczego nie chce siedzieć u boku Jake'a w szoferce zdezelowanej ciężarówce. Wie też, z jakiego to powodu prawie każde słowo Jake'a, z jakim zwraca się do niej, powoduje jej nadmierną nerwowość. Sprawa jasna jak słońce. Niezależnie od romantycznego zadurzenia w zmarłym poecie i jego cudownych słowach, przyjaciel tego poety, w słowach nie przebierający, rozpala Molly do czerwoności.

Bez sensu. Przecież zawsze zdecydowanie preferowała mężczyzn obytych, pełnych uroku. Jake natomiast był gruboskórny, ironiczny, całkowicie pozbawiony wdzięku i delikatności. No, może nie tak do końca. Do innych kobiet, jak na przykład Marjorie Twitchell czy Binnie, odnosił się bardzo miło. A na jego wyczucie i delikatność

w obcowaniu z upośledzonym Davym patrzyła z ogromnym wzruszeniem.

Wychodzi więc na to, że tylko ona, Molly Ferrell, nie zasługuje na jego sympatię. No to niech się ten cały Jake wypcha trocinami, pomyślała ze złością i nacisnęła mocniej na pedał gazu. Natychmiast została ukarana wybojem bez porównania gorszym od wszystkich, które gnębiły ją dotychczas. Musiała zakląć. A Jake jechał sobie przed nią spokojnie, wielka ciężarówka sunęła po tej przeklętej drodze jak po szosie wylanej świeżutkim asfaltem. Za zbryzganą błotem tylną szybą szoferki widziała jego długie ciemne włosy. Ona zawsze miała słabość do długich włosów, niestety, trafiali jej się chłopcy wyłącznie krótko ostrzyżeni. A teraz... Cóż teraz? Miała prawie trzydzieści pięć lat, za stara była na długowłosych chłopaków i mogła pozwolić sobie jedynie na erotyczne fantazje o długowłosym Jake'u. Czyli lepiej nadal marzyć sobie o Michaelu O'Flanerym. Lepiej i bezpieczniej, bo w przypadku Michaela nie ma szans, żeby Molly wylądowała w jego łóżku. Michael na zawsze pozostanie postacią nieosiągalną, pełną tragizmu i nieskończenie idealną.

Długo trwało, zanim dotarli do Crab Tree Lane. Przedtem Molly zmuszona była pokonać jeszcze jedną okropną koleinę. Podwozie umęczonej hondy wydawało z siebie żałosne dźwięki, a Molly

przyszło nagle do głowy, że ona chyba tę koleinę już pokonywała. Tak, na pewno już o nią walnęła. Wszystko wskazuje więc na to, że Jake wybrał drogę jak najbardziej określną, pewne odcinki trasy pozwolił sobie nawet dublować. Wszystko po to, żeby Molly nie potrafiła sama odnaleźć drogi powrotnej.

I niepotrzebnie tak się męczył. Ona, jeśli chodzi o orientację w terenie, była przypadkiem beznadziejnym. W drodze z Michigan do Maine chyba siedem razy skręcała nie tam, gdzie trzeba. Gdyby teraz przyszło jej wracać samej do Hidden Harbor, to nawet gdyby Jake dał jej dokładne wskazówki, a może i mapę, i tak wylądowałyby nad Pacyfikiem.

Opuszczony dom O'Flannery'ego, choć piętrowy, nie wyglądał okazale, za to jeszcze bardziej ponuro, niż się spodziewała. I zdecydowanie chylił się ku upadkowi. Deski poszycia elewacji odpadały w wielu miejscach, okna były w fatalnym stanie. W środku na pewno stęchlizna i ziąb. Elektryczność - o ile ta rudera szczyciła się tym kiedyś - na pewno dawno została wyłączona.

Jake zdążył już zaparkować swoją ciężarówkę i gdzieś znikł. Stała więc hondą obok, wysiadła i wolnym krokiem podeszła pod dom. Kiedy doszła do szerokich, popękanych schodów, przystanąła i spojrzała na zapadającą się werandę, ciągnącą się wzdłuż całej ściany frontowej.

Michael, gdyby siedział teraz na tej werandzie, patrzyłby w stronę Hidden Harbor. A nie na bezkres nieskończenie wolnych wód oceanu...

A więc to tutaj... Przez prawie całe swoje dwudziestoletnie życie Michael mieszkał w tym brzydkim, ponurym domu. Tutaj napisał swój ostatni epicki poemat, tutaj nagryzmolił list pożegnalny, wziął strzelbę do ręki i odszedł w nicość.

Ciekawe, czy wśród tych ścian czuje się jego obecność, jego zapach... Czy jego łóżko nadal tu stoi? Czy Molly będzie mogła położyć się na nim i zamknąć oczy? Tylko na chwilkę i naturalnie tylko wtedy, kiedy w pobliżu nie będzie Jake'a...

Nagle drgnęła. W ciemnym miejscu koło werandy coś się poruszyło. Jake? Nie. Z ciemności wynurzył się wielki, zwalisty Davy. Jego twarz wykrzywiona była z gniewu.

- A co ty tu robisz? - krzyknął. - I kto ci powiedział o tym domu? Wynoś się stąd! Wynoś się z Hidden Harbor! My ciebie tu nie chcemy! Jake nie mówił ci!?

Gdzie, u diabła, podziewa się Jake?

Wszyscy twierdzili zgodnym chórem, że Davy jest nieszkodliwy, teraz jednak Molly absolutnie nie była zdolna w to uwierzyć. Davy w swojej biednej, nienormalnej głowie zdecydował, że będzie jej nienawidzić. Dlaczego? Czy z tego samego powodu co większość mieszkańców Hid-

den Harbor, którzy żywią do niej co najmniej żywiołową niechęć?

- Cześć, Davy - powiedziała jak najbardziej łagodnie i miękko. - Miło cię widzieć. Jake mnie tu przywiózł. On gdzieś tutaj jest.

- Nie. Jego na pewno tutaj nie ma - oświadczył Davy swoim bezbarwnym głosem. - On by nigdy ciebie tu nie przywiózł. Jake zawsze mi powtarza, że Michaela trzeba chronić. Każdy sposób jest dobry. Tak powiedział. A ty... ty chcesz wszystko zepsuć!

- A co ja takiego mam zepsuć, Davy? - spytała, czując coraz większy lęk. Od jej przyjazdu upłynęło niewiele czasu. A Davy zdążył diametralnie zmienić swoją opinię. Nie była już ładną panią, tylko zagrożeniem dla ludzkości.

- Przestań zadawać mi pytania! - krzyknął.

Podszedł bliżej do schodów. Jedną rękę schowaną miał za plecami. Coś tam trzymał. Coś dużego. Coi Molly poczuła na plecach lodowaty dreszcz.

- Davy, a może przejdziemy się dookoła domu i razem poszukamy Jake'a? Co o tym myślisz?

Davy potrząsnął głową. I podszedł jeszcze jeden krok bliżej.

- Nie będziemy go szukać. Bo ja nie chcę, żeby on tu teraz był. On i tak ciebie stąd nie wyrzuci. A ja to zrobię. Ja mogę wszystko. Mnie nikt nic nie robi, bo ze mną nie wszystko jest w porządku. Tak mi wszyscy mówią. Oni chcieli mnie

zawieźć do szpitala w Sanford, ale Jake im nie pozwolił. Powiedział im, że ja bym nie skrzywdził nawet muchy. I ja na pewno bym tego nie zrobił.

- Naturalnie, że nie - przytaknęła skwapliwie Molly. - I wiesz co, Davy? Robi się naprawdę chłodno. Chyba pójdę do samochodu po sweter.

Boże, daj, żeby się zgodził! Oby tylko dojść do samochodu, zamknąć się w nim i poczekać aż...

- Nie ruszaj się!

Davy zrobił kolejny krok. Teraz Molly mogła dojrzeć, co ten olbrzym trzyma za plecami. Była to stara strzelba. I jej widok wcale nie podziałał na Molly uspokajająco.

Teraz pozostawała tylko nadzieja, że stara strzelba nie jest naładowana. Albo jest zepsuta. Może Davy nie umie się nią posługiwać i tylko blefuje...

Nie. Nic nie było w stanie dodać jej otuchy. Stała bez ruchu, sparaliżowana strachem i czekała na chwilę, kiedy Davy wyciągnie zza pleców strzelbę i wyceluje w nią i kiedy będzie mogła się przekonać, czy Jake przybędzie na ratunek, czy nie, bo na przykład sam chciał, żeby taki właśnie był przebieg wypadków.

Niebo było coraz ciemniejsze, drzewa kładły na ziemi złowieszcze, posępne cienie. Strach dławił. Może niepotrzebnie? Przecież to niemożliwe, żeby nagle znalazła się w aż tak wielkim niebez-

pieczeństwie. A ona tak bardzo nie chciała jeszcze umierać, teraz i tutaj, na tym bezludziu. Pod pochmurnym niebem, bezlitośnie smagana porywistym wiatrem...

Jeszcze jeden krok. Davy był już bardzo blisko. Uciekać? Nie. Strzeli jej w plecy. Trzeba koniecznie spróbować jakoś uspokoić Davy'ego.

- Po co tu w ogóle przyjechałaś? - spytał płaczącym głosem. - Tylko sprawiasz kłopot. Tu nikt nie powinien przyjeżdżać!

- Ależ Davy! Ja nie mam...

- Nie kłam! - Znów krzyczał. W jego głosie słychać było histerię. - Chcesz zrobić ze mnie durnia! A to ci się nie uda! Specjalnie tu przyjechałaś, żeby zamieszać! I wszystko zepsuć!

- Davy?

Jake wynurzył się z ciemności prawie bezszelestnie. Minął Molly i stanął przed nią, zasłaniając ją swoim rosnącym ciałem.

- A co ty tu robisz, Davy?

- Cześć, Jake!

Cała histeria znikła. Davy spojrział na Jake'a niemal z radością, opuszczając strzelbę na ziemię.

- Ja nic tu nie robię.

Jake spokojnym krokiem przemierzył podwórze i podniósł z ziemi starą strzelbę.

- Skąd masz tę zabawkę, Davy?

Davy poruszył się niespokojnie.

- Ona nie jest naładowana.

- Ale ty wiesz bardzo dobrze, że tobie w ogóle nie wolno dotykać broni. I nie wolno ci nikogo skrzywdzić. Dlaczego chcesz skrzywdzić Molly? Przecież ona jest miła, zapomniałeś o tym?- I ona jest ładną panią.

- Ty wiesz, dlaczego - powiedział Davy posępnym głosem.

- Idź do ciężarówki, Davy. Zawiozę cię do miasta.

- A co z nią? - Davy wskazał głową na Molly.
- Chyba nie chcesz, żeby ona tu węszyła.

- Nie będzie. I ja sam ją tu przywiozłem. O nic się nie martw, Davy.

- Ale ty uważaj, Jake, bo ona może się dowiedzieć, że...

- Idź do ciężarówki, Davy. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Davy, już nie dyskutując, ruszył się w końcu z miejsca. Molly obszedł kołem, jakby była zadżumiona. Jake podszedł do schodów, oparł o nie strzelbę i ruszył w ślad za Davym.

- Jak się czujesz? - spytał, zatrzymując się na moment przy Molly. - Bardzo cię wystraszyło

Sprawiał wrażenie szczerze zaniepokojonego.

- Nic mi nie jest - rzuciła buńczucznie. On przecież nie mógł wiedzieć, że jej nogi nadal są jak z galarety. - Zawieziesz go teraz do domu, prawda-

- Tak. On nic by ci nie zrobił.

Naprawdę trudno było w to uwierzyć. Ale skinęła głową.

- Nic mi nie jest - powtórzyła. - I ja też chyba wrócę teraz do miasta. Możemy tu przyjechać jeszcze raz, kiedy indziej.

Przelotne spojrzenie, bardzo niepewne, potwierdziło jej przypuszczenia w sprawie drogi powrotnej.

- Możesz mieć problem z odnalezieniem drogi - powiedział. - Otworzyłem drzwi. Może wejdziesz do środka i rozejrzysz się, póki nie wrócę?

To zaproszenie było absolutną niespodzianką.

- Zdecydowałeś się mi zaufać?

Uśmiechnął się.

- Nie była to trudna decyzja. Tam i tak niczego nie znajdziesz. Możesz sobie szperać w szufladach i szafach, ile dusza zapragnie. Ja wrócę za jakąś godzinę.

Nie ruszyła się z miejsca, póki zdezelowana ciężarówka nie znikła jej z oczu. Dopiero wtedy wolnym krokiem wstąpiła na szerokie, popękane schody, wiodące na werandę.

Stara, zardzewiała strzelba nadal oparta była o stopnie. Może i powinna zanieść ją do tego pustego domu. Ale jakoś nie miała na to ochoty. Nienawidziła broni. A poza tym z tego, co czytała, taką właśnie strzelbę Michael O'Flannery zabrał ze sobą do lasu, kiedy poszedł tam odebrać sobie życie.

Pchnęła drzwi. Skrzypnęły głośno, ukazując mroczne, bardzo niepociągające wnętrze, cuchnące stęchlizną. Przeszła jednak przez próg i starannie zamknawszy drzwi za sobą, przystąpiła do oględzin.

Jake miał rację. W tym domu było tylko trochę rozpadających się mebli, wyblakłych dywanów i zapach stęchlizny unoszący się w powietrzu. I ten dom był mniejszy, niż można było przypuszczać, spoglądając na niego z zewnątrz. Na parterze kuchnia, pokój dzienny, stołowy i salon, a wszystkie ściany oklejone brzydką, smutną tapetą.

Na piętrze cztery sypialnie.

Nietrudno było dojść, która z nich należała do Michaela. Po prostu drogą eliminacji. Był to jedyny pokój, w którym oprócz mebli były jeszcze książki. Dużo książek. W starej biblioteczkę stojącej pod ścianą, na półkach, na podłodze, kilka leżało na wąskim żelaznym łóżku.

Nachyliła się nad łóżkiem, zebrała książki i rzuciła je na biurko. Spojrzała na łóżko jeszcze raz. Żadnej pościeli, tylko materac przykryty narzutą. Starą i brzydką, jak wszystko tutaj.

Ale to było łóżko Michaela O'Flannery'ego. On spał w tym łóżku albo leżał sobie na tej starej narzucie, zapatrzony w okno, na ocean. I marzył.

Jak wtedy wyglądało? Próbowała go sobie wyobrazić. Skutecznie, bo przed oczyma pojawił się

obraz mężczyzny wyciągniętego na wąskim łóżku. Ale to nie był Michael, to był Jake...

Zamrugała szybko powiekami, wymazując wyimaginowany obraz i rozejrzała się dookoła po smutnym, niepociągającym wnętrzu, Jake miał rację. W tym opustoszałym domu nie znajdzie się niczego interesującego. Pozostaje więc tylko czekać na powrót Jake'a. Czyli siedzieć tu, w tej upiornej ciszy i drzeć z zimna.

Nie była aż taką masochistką. Ściągnęła z łóżka starą narzutę, owinęła się nią i przysiadła na łóżku. Spojrzała w okno, za którym w dali widać było ocean. Tak. Teraz czuła obecność Michaela. Czuła w tej starej narzucie, w nieruchomym powietrzu, w podłodze pod stopami.

I siedziała na jego łóżku, na jego starym materacu z końskiego włosia...

Oderwała wzrok od okna. Spojrzała na stary materac. Zwyczajny materac, pokryty niebieskim płótnem...

A na niebieskim płótnie... krew.

Krew, z którą dwadzieścia lat temu wyciekło życie poety...

Kiedy owinięta w starą narzutę wybiegała z domu, Jake był już prawie na szczycie wejściowych schodów. Silne, twarde dłonie chwyciły ją mocno za ramię i zatrzymały w miejscu.

- Co się stało, Molly*? Zobaczyłaś ducha? O'Flannery postanowił spotkać się z tobą osobiście?

- Krew... - wydyszala. Tylko tyle była w stanie powiedzieć. - Wiem już, gdzie umarł.

- Naprawdę?

Głos Jake'a był dziwnie spokojny.

- W łóżku! Zabił się w łóżku i ktoś, może nawet ty, ukrył to. Cały materac jest we krwi. Zasznięta krew. Ale dlaczego ty...

- On wcale nie umarł w łóżku, Molly.

- A skąd ta krew? Tylko mi nie mów, że to krew z nosa albo jakieś skaleczenie. Ja i tak nie uwierzę. Nie wiem zresztą, czy w ogóle powinnam ci wierzyć. Przecież ty wcale nie musisz mi mówić prawdy. Koniecznie chcesz, żebym wyjechała stąd jak najprędzej!

- Tak, chcę - mruknął, ale wydawało się, że te słowa skierował raczej do siebie. - Molly, chodzi ci o ten materac w sypialni na tyłach domu? To narzuta z tego łóżka, tak? Owszem, pod jednym względem masz rację. Rzeczywiście, to nie był żaden krwotok z nosa ani skaleczenie. Tylko porządne cięcie. Na rok przed swoją śmiercią Michael w pijanym widzie próbował odebrać sobie życie. Podciął sobie żyły na przegubach obu rąk. Na szczęście ktoś go znalazł w samą porę i zawiózł do szpitala. Tam go zacerowali. I znów był w porządku, niestety, tylko przez rok.

- A kto go znalazło Ty?

- Nie. Davy. Uratował mu życie i zawsze czuł się za Michaela bardzo odpowiedzialny. A teraz

tak do końca to nie wierzy, że Michael nie żyje. Podejrzewa, że Michael gdzieś się ukrył.

- A tak nie jesti

Jake drgnął. Cofnął się o krok i opuścił ręce.

- Żartujesz, Molly!

- Nie, wcale nie żartuję. Bo wszyscy tutaj sprawiają wrażenie, jakby coś ukrywali. Naturalnie coś, co ma związek ze śmiercią O'Flannery'ego. Nie dziw się, że mnie również zaczynają chodzić po głowie różne myśli. Na przykład, że Michaela ktoś zabił. Może Davy... albo ty.

- Czyli powinnaś zacząć pisać thrillery. Michael nie żyje. Odszedł na zawsze i nikt mu w tym nie pomógł. Zginął z własnej ręki. A ty chyba nie przyjechałaś tu, żeby rozsiewać jakieś plotki, że...

- Nie mam zamiaru niczego rozsiewać, zaręczam. Po prostu chcę poznać prawdę.

Na chwilę przymknął oczy. Ze niby ona doprowadza go do szaleństwa.

Może i tak, bo kiedy je otworzył, były prawie granatowe, pełne złości.

- Prawda to rzecz względna! Michael odszedł na zawsze. Ta informacja powinna ci wystarczyć. Kłamał. Naturalnie, że kłamał. I wiedział, że ona jest tego świadoma.

- Wracam do domu - oznajmiła.

- Nareszcie!

- Nie ciesz się. Mam na myśli zajazd. Wcale nie

wyjeżdżam z Hidden Harbor. Nie wygonisz mnie stąd, Jake, ani prośbą, ani groźbą. Sama zadecyduję, kiedy wyjadę.

- Jesteś tego pewna?

Nie miała pojęcia, o co mu teraz właściwie chodzi, ale nie miała czasu na zastanawianie się, ponieważ nastąpiło coś, co było jak przysłowio-
wy grom z jasnego nieba. Jake nagle objął ją, przyciągnął do siebie i... pocałował.

Jake, gdyby zaszła taka potrzeba, mógłby przedstawić całą listę powodów, dla których zdecydował się pocałować Molly Ferrell. Mógłby wzbogacić tę listę argumentami nie do zbicia. Przekonać każdego o słuszności swego posunięcia. Może nawet i siebie.

Oczywiście nie teraz, kiedy Molly wtulała się w niego, a ich usta złączone były w pocałunku. Stara narzuta zsunęła się z jej ramion i ułożyła się malowniczo wokół jej stóp. Molly oparła dłoń o jego pierś, może i po to, żeby go odepchnąć, ale jednocześnie rozchyliła wargi, umożliwiając tym samym bardzo namiętny pocałunek. A cichy, gardłowy dźwięk, który wydobył się przy tym z jej ust, był jeszcze bardziej zmysłowy niż te jęki nad kawą. W rezultacie Jake czuł, że podniecił się jak diabli. Zdawał sobie sprawę, że powinien ją puścić i odejść, zanim wszystko wymknie mu się spod kontroli.

Nie puścił, nie odszedł, tylko dalej całował. Dlaczegoż? Żeby wystraszyć ją porządnie i zmusić do wyjazdu? Albo może po to, żeby odwrócić jej uwagę od spraw, które ją przywiodły do Hidden Harbor?

Bzdura! Całował ją, bo po prostu chciał ją całować. Nie potrafił przestać myśleć o jej oczach, ustach, piersiach, o jej nogach. Od tego pierwszego dnia, kiedy nieproszona zjawiła się w Hidden Harbor. A dziś rano, w kuchni, jakimś cudem się powstrzymał, żeby nie rzucić jej po prostu na kuchenny stół. Przez cienką, spraną flanelę koszuli prześwitywały dwie ciemne plamki. Sutki. Widział je wyraźnie, dlatego nie ruszał się z za kontuaru, bo inaczej chyba naprawdę by na nią skoczył. A tak... tylko się gapił, przede wszystkim na usta. Pełne, miękkie. I uświadomił sobie, że teraz naprawdę ma wielki problem.

Podniósł głowę i spojrzał na twarz Molly. Oczy miała zamknięte. Czuł, jak drży w jego ramionach. Nie wiedział, czy z zimna, czy ze strachu, a może jeszcze z jakiegoś innego powodu.

Nagle otworzyła oczy. Było w nich to, na co czekał. Oszołomienie i podniecenie. Dlatego mógł zrobić tylko jedno.

- Chcesz wejść do środka i wypróbować materac naszego Michaela? - spytał. Specjalnie walnął tak prosto z mostu.

Z jej ust wydobył się przytłumiony dźwięk, trudny do sprecyzowania. Odepchnęła go. I teraz to on drżał, może i z zimna.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wcale nie kierował nią zdrowy rozsądek. To instynkt samozachowawczy kazał jej odepchnąć Jake'a, prawie brutalnie, i energicznym krokiem zmierzać do samochodu, kiedy jednocześnie miała przeogromną ochotę pozostać w jego objęciach.

Jednak nie dała rady odejść energicznym krokiem, ponieważ zaplątała się w narzutę i rymnęła na ziemię jak długa. Noga w kostce zabołała porządnie, prawdopodobnie ją skręciła, a jedno kolano natrafiło na coś bardzo twardego. Jej reakcja na ten wypadek była krótka i dosadna. Zaklęła głośno. Była to profanacja delikatnych, przyzwoitych uszu.

- Nie zaimponujesz mi - powiedział Jake doskonale obojętnym głosem, jakby przed chwilą wcale jej nie całował jak wariat. Jakby ona nie czuła jeszcze tego żaru, w którym roztapiali się oboje. Niestety, on prawdopodobnie niczego nie

czuł, bo wyciągnął rękę i pomógł jej stanąć na nogi, wykazując przy tym tyle delikatności, ile wymaga się przy podnoszeniu z ziemi worka kartofli.

- Puść mnie!

Odepchnęła go ze złością, nie zamierzając przyjmować od niego żadnej pomocy. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie da rady iść sama, przynajmniej w tym momencie. Dlatego usiadła na rozpostartej na ziemi narzucie i wzięwszy głęboki oddech, przeanalizowała w duchu zaistniałą sytuację. Noga w kostce jakby nagle straciła całą sztywność i wykazuje głupią tendencję do skręcania w lewą stronę. Czyli należałoby się teraz położyć, chorą nogę umieścić trochę wyżej, zrobić okład z lodu i jutro rano wszystko będzie w porządku. Recepta prosta, jednak na jej realizację absolutny brak warunków. Znajduje się bowiem teraz na odludziu w towarzystwie człowieka, którego nie darzy zaufaniem. A poza tym dochodzą do tego dodatkowe przykrości. To, na czym wylądowała - nieważne, co to było - rozdarło jej ukochane stare dżinsy. I kolana miała zakrwawione.

Zakłęta ponownie, tym razem jeszcze dosadniej. Jake przykucnął i przez chwilę wpatrywał się w jej kolano.

- Nie wygląda to dobrze.

- Wygląda gorzej, niż jest naprawdę - rzuciła mu w twarz niewinne kłamstewko.

- To dlaczego nie możesz chodzić?

- Bo coś stało mi się z kostką.

Teraz on zaklął, o wiele bardziej soczyście niż ona.

- Czyli powinienem odwieźć cię do domu.

- Nie trzeba. Pomóż mi tylko dojść do samochodu. Na pewno mogę sama prowadzić.

- Ze skręconą kostką? Raczej niemożliwe.

- Wcale nie jest skręcona, tylko nadwerężona. A to wielka różnica. Jutro wszystko będzie w porządku.

Spojrzał na nią wymownie tymi swoimi granatowymi oczyma i jej myśli na moment zwekslowały na inny tor. Dlaczego ją pocałował? I dlaczego przestał ją całować?

- Rób, jak chcesz - powiedział w końcu i wstał. Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać.

Zacisnęła zęby, zdecydowana nie dać poznać po sobie, że noga boli ją okropnie. Udało jej się samodzielnie zrobić dwa kroki, tylko dwa, bo do trzeciego Jake już nie dopuścił. Po prostu wziął ją na rękę. I to było oszałamiające uczucie.

- Co ty wyprawiasz? - spytała słabym głosem, czując, że z tych wszystkich emocji zaczyna brakować jej tchu.

- Chciałbym sam to wiedzieć - mruknął i zaniosł ją do ciężarówki. Nie wypuszczając jej z rąk, udało mu się jakoś otworzyć drzwi szoferki. Potem posadził ją na miejsce pasażera w sposób raczej bezceremonialny.

Nie zaprzętała sobie głowy ewentualną ucieczką. Wiedziała, że w tym stanie i tak nie ucieknie daleko, a poza tym gdyby on miał uganiać się za nią, byłoby to po prostu śmieszne. Nie wspominając o tym, co mogłoby się stać, gdyby ją złapał.

Siedziała więc jak trusia i patrzyła, jak podchodzi do opustoszałego domu, zgarniając po drodze starą narzutę i porzuconą strzelbę, wrzuca je do środka przez otwarte drzwi i zamyka drzwi na klucz.

Ciężarówka była duża, z przestronną szoferką. Kiedy jednak wsiadł do niej Jake, wydawało się, że skurczyła się do rozmiarów sportowego auta.

- Zapnij pasy - powiedział, odjeżdżając spod domu. - I postaraj się nie zaplamić krwią całej mojej ciężarówki.

- W takim razie daj mi coś w rodzaju bandaża. Ej, chwileczkę! A dokąd my właściwie jedziemy?

Ciężarówka zdecydowanie posuwała się w kierunku oceanu.

- Ponieważ nie udało mi się zmusić cię do wyjazdu z Hidden Harbor, postanowiłem rzucić cię z nabrzeżnej skały. Tak właśnie zginęli rodzice O'Flannery'ego, chyba słyszałaś o tym. Jego ojciec jak zwykle był pijany, a matka się wściekała na niego. On skręcił nie tam, gdzie trzeba i samochód zjechał z drogi prosto do oceanu. Pomyślałem sobie, że może miałybyś życzenie zginąć w tym samym miejscu.

- Co? - Molly z trudem łąpała powietrze. On nie raczył nawet na nią spojrzeć, ale po jego ustach błąkał się półuśmiech.

- Po prostu żartowałem.

- Drań! Ty jesteś po prostu chory!

- I kto to mówi? Ze mną nie jest jeszcze najgorzej. Ja nie wożę ze sobą listów pożegnalnych samobójcy i nie podkochuję się w kobietach, które dawno umarły! A jeśli chodzi o cel naszej przejażdżki, to jedziemy do mnie, do mojego domu. Obejrzę twoją nogę i jeśli okaże się, że ranę trzeba zaszyć, pojedziemy do szpitala. Jeśli nie, sam opatrzę ranę i odwiozę cię do zajazdu. Tam wyśpisz się porządnie i jutro od samego rana wznowisz swoje śledztwo, zamiast wracać do domu. Choć to jedyna rozsądna rzecz, jaką powinnaś zrobić.

- A dlaczego nie zawieziesz mnie od razu do Hidden Harbor? Tym bardziej że boisz się, że zaplamie ci krwią całą ciężarówkę.

- Bo mieszkam pół mili stąd, a do Hidden Harbor jest ze cztery mile po nierównej drodze. Z mojej strony nic ci nie grozi, Molly. Nie dotknę cię nawet żerdzią długości kilku metrów!

- Czyżby? Miałam już okazję przekonać się o tym...

Spojrzał na nią przelotnie, ona zignorowała to spojrzenie i zaczęła pilnie wpatrywać się w okolicę. Jechali w stronę oceanu. Po obu stronach

wąskiej, zrytej koleinami drodze rosły sosny, wysokie, mocne, zdolne oprzeć się porywistym wichrom znad oceanu. Z prawej strony widać było przybrzeżne skały, z lewej ład obniżał się stopniowo ku wodzie.

- Nie widzę żadnych domów - powiedziała.

- Bo ich tu nie ma. Ja bardzo sobie cenię prywatność.

Jechał dalej. Molly przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu, po czym pozwoliła sobie na kąśliwą uwagę.

- Naśladujesz Ethana Frome'a?

- Raczej nie. Ethan Frome gotów był oddać życie w imię miłości. Ja nie, za dużo we mnie pragmatyzmu.

- Na to, żeby się zakochać, czy raczej umrzeć z miłości?

Granatowe spojrzenie znów przemknęło po niej. Ale żadne słowa nie padły.

- Powiesz mi prawdę? - spytała po chwili, choć zdawała sobie sprawę, że pytanie jest z gatunku głupich i naiwnych. Miała przecież poważne wątpliwości, czy podczas ich krótkiego okresu znajomości on chociaż raz powiedział jej prawdę.

Droga skończyła się. Jake zatrzymał ciężarówkę na niewielkim podjeździe, przesunął się na swoim miejscu i spojrzał na Molly.

* Tytułowy bohater powieści amerykańskiej **pisarki Elizabeth Wharton** (wydana w 1911 r.) - przyp. tłum.

- A o czym ma być ta prawda- O mnie?
- Nie. O rodzicach Michaela. Wiem, że zginęli w wypadku samochodowym, kiedy Michael miał siedemnaście lat. Czy oni naprawdę spadli z nadbrzeżnego urwiska?

- Tak.

- Ale syna nie pochowano razem z nimi. Dlaczego?

- Byli dobrymi katolikami, dlatego znalazło się dla nich miejsce na cmentarzu przy kościele pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny. Michael, odbierając sobie życie, popełnił grzech śmiertelny, ale żeby w zaświatach nie było mu zbyt ciężko, pochowano go na cmentarzu protestanckim.

- Pochowano? Przecież jego nie ma w grobie. Nie znaleziono jego ciała. Prawda?

Cisza, jaka teraz zapadła, była dziwnie przytłaczająca. Południe jeszcze nie minęło, a Molly zdawało się, światło dnia już gaśnie. Wiatr był coraz bardziej porywisty, przejmujący chłód wpełzł do szoferki. I do serca Molly.

- Tak. Nikt nie znalazł jego ciała - odezwał się Jake po chwili i spojrzał przez szybę. - Zdaje się, że sztorm jest bliżej, niż można się było tego spodziewać.

- Jaki sztorm? - spytała. - Nie wiedziałam, że nadchodzi sztorm.

- A to dlatego, że wy, ludzie z nizin, nie interesujecie się w ogóle pogodą. Myśleliśmy, że

będzie wiało z północnego wschodu, ale wygląda na to, że powieje znad oceanu.

- Nie sądzisz więc, że lepiej jechać od razu do miasta? Zanim nadejdzie ta wichura?

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

Wyskoczył z samochodu, zostawiając kluczyki w stacyjce. Obszedł szoferkę i otworzył drzwi z drugiej strony.

- Zapomniałeś o kluczykach - powiedziała Molly. - Ktoś może ukraść ciężarówkę.

- Nikt tutaj nie przyjdzie. Zawsze zostawiam kluczyki w samochodzie. Ludzie z Hidden Harbor nie kradną.

- Och, jak miło to usłyszeć - mruknęła Molly i zaczęła powoli gramolić się ze swego miejsca. Jake cierpliwie czekał na nią z wyciągniętymi rękami. Te silne ręce miały znów jej dotknąć... Dziwne, ale tym razem wydawało jej się to bardzo... krępujące.

Głupia jest i tyle. Jak zwykle przesadza, chociaż w pewnym sensie jej czujność jest usprawiedliwiona. Ten mężczyzna zdążył ją już pocałować, a jej od dawna nie całowano. Lata całe. Poza tym Robert w całowaniu był raczej kiepski.

- Dam sobie sama radę - oświadczyła i zaczęła ostrożnie zsuwać się z fotela, z którego na ziemię był jednak spory kawałek. Jake, naturalnie, zignorował jej słowa. Chwycił ją wpół i zestawił na ziemię.

- Wziąć cię na ręce? - spytał.
- Przede wszystkim uważam, że powinniśmy jechać prosto do Hidden Harbor.

Znów jakby ogłuchł i bez słowa zgarnął ją z ziemi. Wiedziała, że nie jest lekka jak piórko, ostatnio waga pokazała pięćdziesiąt sześć kilo. Ale Jake, zamknąwszy kopniakiem drzwi szoferki, lekkim krokiem sunął ścieżką między sosnami z malowniczo powyginanymi konarami. I wcale nie oblewał się potem ani nie sapał.

Nie miała żadnej koncepcji co do wyglądu jego domu, jednak to, co ukazało się jej oczom, w jakimś sensie było niespodzianką. Dom, ukryty wśród wysokich drzew, trochę przypominał chatę rybacką. Albo lekki przenośny dom z drewna. No tak, w sumie czemu tu się dziwić. Przecież Jake jest cieślą.

Ten dom był ładny i ciekawy. Niski, rozłożysty, miał urokliwą kompozycję linii prostych i rozmaitych załamania. Szkło i drewno. Mistyka i pragmatyzm w jednym. A za domem widniała bezkresna tafla oceanu, dziś gniewna, wietrząca nadchodzący sztorm.

Jake wcale nie spytał, czy dom jej się podoba. Jakby jej opinia w ogóle go nie obchodziła. A ona wcale nie chciała, żeby dom Jake'a jej się spodobał, niestety, spodobał się i to bardzo. Dlatego zaczynała na serio się zastanawiać, czy Jake może jednak ma rację i ona powinna jak najszybciej

wyjechać z Hidden Harbor. Znaleźć się z dala od duchów i pokus tej rybackiej osady.

W domu pachniało cynamonem, dymem z palącego się drewna i cedrem. I dopiero kiedy poczuła cudowne ciepło, zdała sobie sprawę, jak przemarzła.

Jake opuścił ją - dosłownie - na kanapę i cofnął się kilka kroków. Molly z ciekawością rozejrzała się dookoła i pomyślała, że on bardzo pasuje do tego wnętrza. Do tego pokoju z olbrzymimi oknami z widokiem na ocean, miotany teraz sztormem. Do szaf bibliotecznych pod ścianami, do starych, nieco sfatygowanych mebli. Było to zdecydowanie męskie gniazdo, z typowo męskim nieładem, czyli brudnymi naczyniami w zlewozmywaku, gazetami na podłodze i tak dalej.

A stara kanapa była chyba najwygodniejszym miejscem pod słońcem.

Obserwował ją. Zauważyła to, choć mimo ogromnych okien w pokoju było prawie ciemno. Zauważyła też, że kiedy zapalił lampę na biurku, niby mimochodem zamknął laptopa.

- Zdejmij spodnie - powiedział.
- Spodnie?
- Musisz zdjąć, jeśli mam przemyć ci ranę na kolanie. Poza tym coś trzeba zrobić z tą kostką.
- Rozumiem. Ale w czym ja niby mam być, kiedy będziesz udzielał mi pierwszej pomocy?

Spojrzał na nią ironicznie i wzruszył ramionami.

- Ty, oczywiście, nie jesteś w stanie uwierzyć, że nie będę cię napastował!

- Och, absolutnie jestem w stanie! Bo nie jestem idiotką. Wiem, że pocałowałaś mnie z jednego tylko powodu. Po prostu jeszcze jedna metoda, żeby skłonić mnie do wyjazdu. Dla osiągnięcia tego celu zdolny jesteś do największego poświęcenia... Przepraszam, a z czego ty się teraz śmiejesz?

- A z tego największego poświęcenia... Może rzeczywiście masz rację. Na pewno byłbym do czegoś takiego zdolny, naturalnie, gdyby przyświecał temu jakiś bardzo ważny cel. Na przykład skuteczne, czyli natychmiastowe wyproszenie cię z Hidden Harbor!

Głupia była, że zeszła na ten śliski temat, oj głupia... Kolano boli jak diabli, o kostce lepiej nie wspominać, a jej tylko takie rzeczy w głowie...

- A konkretnie, jakiego rodzaju byłoby to poświęcenie? - spytała i już czuła, że to był wielki błąd. Jej pytanie bowiem wprawiło Jake'a w ruch. Podeszedł do kanapy i nachylił się nad nią. Natychmiast przesunęła się jak najdalej do tyłu, żeby zachować jaką taką odległość. On stanowczo nie powinien znajdować się tak blisko jej twarzy. Budziło to w niej lęk, a jednocześnie jego bliskość była dziwnie słodko kusząca.

- Powiedz, Molly... - zapytał niepokojąco cichym, prawie jedwabnym głosem - gdybyśmy

przespali się ze sobą, czy to skłoniłoby cię do wyjazdu z Hidden Harbor?

Przede wszystkim wzięła głęboki oddech, co w tym momencie było nadzwyczaj potrzebne. I miała nadzieję, że udaje jej się wyglądać na osobę, na której jego pytanie nie wywarło żadnego wrażenia.

- Może. Gdybyś okazał się naprawdę kiepski.

Roześmiał się. I nie po raz pierwszy Molly pomyślała w duchu, że jego śmiech bardzo jej się podoba. Zaczynał się od ostrożnego półśmiechu, który Jake jakby starał się powstrzymać, potem poszerzał się i przechodził w śmiech niegłośny, ale radosny.

- Jesteś kobietą, przed którą trzeba mieć się na baczności, Molly Ferrell - powiedział, prostując się.

- W tej sytuacji lepiej będzie zachować dystans.

- Jeśli faktycznie do tego się dostosujesz, zdejmę spodnie. O ile, oczywiście, masz tu jakiś koc, którym będę mogła się owinać.

- Leży na kanapie, za tobą. Idę po środki opatrunkowe.

Z tym zdejmowaniem spodni to nie najlepszy pomysł, pomyślała smętnie Molly. Bo co się stanie, jeśli okaże się, że mężczyzn z Maine widok zakrwawionego damskiego kolana i opuchniętej kostki również rozpala do białości?

Stanowczo wolałaby już znaleźć się w zajęździe. Stanowczo...

Czy naprawdę? Czy nie oszukuje siebie?

Owinęła sobie biodra kocem i podciągnęła brzeg nieco wyżej, odsłaniając kolano. Rana już nie krwawiła i zaczynała się zamykać, ale nawet w tym słabym świetle widać było, że jest zabrudzona. Jake miał rację, trzeba ją przemyć jak najprędzej. Niestety, wcale się jej nie podobało, że znowu miał rację.

Właśnie ukazał się w progu. W obu rękach trzymał środki opatrunkowe.

- Kładź się.

- A co to? Znowu rozkaz? Zdejmuj spodnie! Kładź się! A gdzie słowo „proszę”?

Gderała, bo była zirytowana, głównie tym, że wykonywanie tych jego rozkazów tak naprawdę jakoś nie wzbudza w niej większych oporów.

- Panno Ferrell, czy byłaby pani tak łaskawa...

- Jake znów włączył głos z gatunku jedwabnych - i zechciała położyć się na kanapie, żebym mógł obejrzeć pani kolano?

- Czy to będzie bolało?

- Prawdopodobnie tak.

- I ty, naturalnie, będziesz z tego zadowolony!

- Prawdopodobnie tak. Położysz się w końcu, czy dalej będziemy gawędzić?!

Położyła się, przymknęła oczy. Kiedy Jake przykląkł obok kanapy, otworzyła je natychmiast.

Wzrok Jake'a wbity był w jej kolano. Nogi miała niezłe. Oczywiście, wyglądały o wiele

lepiej, kiedy były czyste, bez tych plam zaschniętej krwi. Ale naprawdę były niezłe i fakt, że Jake na nie patrzył, nie był jeszcze powodem do zdenerwowania. Ale gdy poczuła jego rękę na swojej łydce - podskoczyła.

- Taka jesteś płochliwa? - sarknął gniewnie.

Upamiętnienia się skończyły, co wcale nie pomagało Molly odzyskać równowagi. Zresztą on też się denerwował, to było jasne. Na pewno myślał o tym samym, co ona. Gdyby było inaczej, w jego głosie nie słychać by było żadnych emocji.

- Prze... przepraszam... - wymamrotała. - Nie przerywaj sobie.

Przekreśliła głowę na bok i żeby się czymś zająć, zaczęła czytać tytuły książek na półkach. Jej sokoli wzrok wyłowił przede wszystkim książki Michaela O'Flannery'ego. Ciekawe, czy miały dedykację autora dla Jake'a. Na pewno tak, przecież Jake znał Michaela przez całe jego krótkie, tragiczne życie. Poza tym Jake miał jeszcze książki przyrodnicze, o ptakach, także o sztukach pięknych i sporo fantastyki. Na pewno miał wszystkie książki Sydneya Carton.

No proszę! I kto by się spodziewał, że Jake i Molly mają jednak ze sobą coś wspólnego! Molly do Carton miała prawdziwą słabość, ukrywała to jednak skrętnie, ponieważ w środowisku akademickim czytanie tego rodzaju książek oznaczało wstyd i hańbę.

- Lubisz fantastykę? - spytała. Miała nadzieję, że jej głos naprawdę był równy i spokojny. Co graniczyło prawie z cudem, zaważywszy na intensywności odczuć, kiedy Jake wsunął rękę pod jej kolano i jego palce dotknęły uda.

Wzrok Jake'a na chwilę spoczął na półce z książkami Cartona.

- W książkach tak - odparł. - Ale w życiu nie. Jestem zdeklarowanym pragmatykiem i realistą. Ale ty chyba nie czytasz Cartona?

- Ja? Ja go kocham.

Był wyraźnie zaskoczony.

- Czytasz Cartona? Naprawdę? Trudno w to uwierzyć.

- Dlaczego? Pewnie, że czytam. A ty doskonale wiesz, że on jest świetny, inaczej nie miałbyś tu jego wszystkich książek.

Po twarzy Jake'a przemknął nieco cierpki półuśmieszek.

- Nie są złe, jak na te wszystkie szmirowate książki w miękkich okładkach - mruknął.

- Wiesz co? Ty jesteś jeszcze gorszy niż moi koledzy i koleżanki z uczelni, którym snobizm wylewa się uszami.

- Jestem pewien, że w towarzystwie tych wszystkich nadętych akademików czujesz się jak ryba w wodzie.

- Ty w ogóle jesteś bardzo pewien wielu rzeczy, o których nie masz bladego pojęcia!

- A co? Nie podoba ci się na uczelni- Nie lubisz uczyć?

- Uwielbiam. Ale nie znoszę tego wszystkiego, co muszę robić oprócz nauczania. W dodatku w takim nadmiarze, że w rezultacie prawie nie mam czasu dla studentów. Wciąż jestem zajęta przygotowaniem konferencji naukowych, pisanie podań o granty i tak dalej, i tak dalej. Podejrzewam, że kiedy dostanę stały etat na uczelni, będzie jeszcze gorzej.

- W takim razie może lepiej, żebyś uczyła w szkole średniej?

- Prawdopodobnie byłabym wtedy o wiele szczęśliwsza...

- To dlaczego tego nie robisz?

- Mam zmarnować swoje wykształcenie?

- A wolisz marnować swoje życie, robiąc coś, czego nie lubisz? Lepiej zajmować się tym, na czym człowiekowi naprawdę zależy. Przy okazji mogłabyś pomagać młodym ludziom. Większość nauczycieli w szkole średniej jest beznadziejna, ale zdarzają się chlubne wyjątki. Jeden dobry belfer może zmienić czyjeś życie.

- A może ja wcale nie chcę wywierać wpływu na życie drugiego człowieka?

- Ty? Oczywiście, że chcesz, to leży w twojej naturze. Życie innych ludzi bardzo cię interesuje, nie zawahałabyś się przed ingerencją, gdybyś uznała to za niezbędne. Bo i skąd, na przykład,

wzięła się twoja fascynacja życiem O'Flanney'ego? Na pewno jesteś przekonana, że gdybyś wcześniej go spotkała, udałoby ci się go uratować.

- Raczej byłoby to niemożliwe. Kiedy umarł, miałam kilkanaście lat. Byłam zwykłym podlotkiem... Trochę za młoda na ratowanie cudzego życia - oświadczyła cierpkim głosem, choć w duchu musiała przyznać mu rację. Oczywiście, że uratowanie Michaela było marzeniem jej życia.

Nagle uświadomiła sobie, że jej noga poddawana jest dziwnym zabiegom. Ciepłe palce Jake'a przesuwały się delikatnie po jej łydce w górę i w dół, i tę czynność można by określić jako pieszczotę.

- Przepraszam, a co ty robisz?

- Dobrze wiesz, co - powiedział, przemieszczając palce na jej udo. - Próbuję cię wygonić z Hidden Harbor. Powiedz mi, czy to... na ciebie działa-

- Tak!

Zabrzmiało to jak cichy, nerwowy pisk.

- To dlaczego nie uciekasz?

- Przecież mam skręconą nogę!

- Czyli szczęście mi dopisuje!

Pociągnął za brzeg koca, Molly kurczowo złapała za koc.

- No proszę, bawimy się w przeciąganie liny? Niestety, ja na pewno wygram.

- Nie będziemy się w nic bawić. Chcę, żebyś natychmiast odwiózł mnie do Hidden Harbor.

- Naprawdę tego chcesz?

Nie zauważyła, kiedy ręka Jake'a wsunęła się pod koc. Ręka szybka, zręczna i bardzo śmiała, zważywszy intymność miejsca, którego dotknęła.

- Och... tak!

Znów wydała z siebie ten głupi pisk. Niestety, innego rodzaju głosu nie była teraz w stanie z siebie wydobyć, ponieważ dotknął to miejsce jeszcze raz, tym razem o wiele mocniej.

- Och, proszę, Jake...

W półmroku pokoju jego oczy wydawały się jak dwa diamenty, lśniące i twarde, najtwardsze ze wszystkich kamieni. Z tyłu, za Jakiem, zobaczyła przez okno świat nękany już przez sztorm. Wicher gwałcił ku ziemi gałęzie drzew, słyszała huk fal oceanu, z wściekłością uderzające o skalisty brzeg. A potem nie widziała już nic. Głowa Jake'a zasłoniła wszystko, kiedy pochylił się nad nią i zaczął ją całować.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wiedział, że to się zdarzy, wiedział już w chwili, kiedy w kuchni Marjorie Twitchell po raz pierwszy spojrzał na Molly Ferrell. Tak. To musiało się stać, niezależnie od tego, jak bardzo by się starał tego uniknąć. I jak bardzo było to nierozsądne. Wiedział, że nie przestanie jej teraz całować, a jego ręka pieścić jej uda. Nic na świecie nie zmusi go, żeby teraz odszedł.

Drugi pocałunek był chyba jeszcze lepszy niż ten pierwszy. Smakowanie po raz wtóry jej ust było jak powrót do domu, gdzie czekało coś jeszcze nie do końca swojskiego, ale już znanego, coś, do czego chciałoby się wracać nieustannie. Usta Molly były miękkie, ostrożne, ale wcale się nie broniła. Nawet ostrożnie dotknęła językiem jego języka, dokładnie w chwili, gdy pokój rozjaśnił niebieski blask błyskawicy, zaraz potem ziemia zadrżała od potężnego grzmotu i pokój pogrążył się w ciemnościach.

Co tam burza, co tam wszystkie wichry tego świata...

- Lepiej tego nie róbmy - wyszeptała Molly. Jej ramiona objęły go mocno za szyję, usta na moment przywarły do jego ust. - To bardzo zły pomysł.

- Tak. Bardzo zły - powiedział i wziął ją na ręce. Koc opadł na podłogę. Najchętniej wziąłby ją od razu, tutaj. Przycisnął do ściany albo rzucił na kanapę i przykrył swoim ciałem. Ale nie. Skoro wykazuje się już tak wielką głupotą, niech przynajmniej wszystko będzie jak należy.

Kiedy niósł ją przez mrok, drżała. Chciała, ale bała się, to jasne.

- Powinieneś odwieźć mnie do zajazdu...
- mruknęła i pocałowała go w szyję.

- Tak.

- Dokąd mnie niesiesz?

- Do łóżka.

Nie dyskutowała, po prostu ukryła twarz na jego ramieniu. Przeniósł ją przez mrok i złożył na szerokim łóżku, którego nigdy jeszcze z nikim nie dzielił. Zaczął ją rozbierać, najpierw rozciągnięty biały T-shirt, potem skromna bielizna. Biustonosz go wkurzał, miał ochotę zerwać go jednym ruchem. Ale powstrzymał się. Mógłby ją przerazić, a ona przecież na pewno w środku cała trzęsła się jak galareta. Chociaż może ten strach nie był tak wielki, skoro się nie opierała.

Kochali się w milczeniu, jedynym dźwiękiem był stłumiony okrzyk Molly w chwili, gdy ich ciała się zespoliły. Wtedy znieruchomiał, pewien, że sprawił jej ból. Ale ona owinęła się nogami wokół jego bioder i przygarnęła go do siebie jeszcze mocniej. Zaraz też poczuł, jak jej ciało zaczyna drżeć spazmatycznie, wspinając się na szczyt rozkoszy.

Chciał, żeby ona pierwsza doznała ekstazy, potem zamierzał skoncentrować się na własnej przyjemności. Ale przeliczył się. Orgazm Molly wyzwolił jego orgazm. I był już bezbronny, pogrążony w Molly, poddający się bez reszty temu czystemu doznaniu, kiedy człowiekowi się wydaje, że coś rozdziera go na kawałki. W sposób absolutnie rozkoszny.

Pierwszy odzyskał oddech. Serce waliło mocno i szybko, ale przynajmniej mógł nabrać powietrza. Zsunął się z niej, nie wypuszczając jej z objęć i wydyszał:

- Uważaj na swoje kolano.
- Zapomnij o moim kolanie - szepnęła i pochyliła się nad nim, żeby go pocałować.

Zasnęła w jego ramionach kilka godzin później, kiedy na dworze zaczynało się przejaśniać. Była ledwo żywa. Nic dziwnego, on w ciągu tych kilku godzin kochał się z nią więcej razy niż z innymi kobietami w ciągu ostatnich pięciu lat. I wcale nie zamierzał na tym poprzestać, ale teraz nie budził

jej, tylko patrzył sobie, jak Molly śpi. Oddychała równo i spokojnie, nagle zapłakała przez sen. Krótki, urywany szloch, po policzku spłynęła łza. Usta Molly były czerwone, opuchnięte od pocałunków. Na twarzy i szyi widać było czerwone cętki. I między udami.

Gdyby wiedział, że to się stanie, na pewno by się przedtem porządnie ogolił. A teraz... teraz zapragnął pocałować każdą czerwoną plamkę na delikatnej skórze Molly. Chciał całować, chciał lizać te miejsca, chciał gryźć.

Czuł, jak znów się podnieca. Postanowił jednak się opanować. Molly prawdopodobnie doszła do granicy swoich możliwości. Musi odpocząć, a on powinien po prostu pomyśleć o czymś innym. Tylko o czym, bo kiedy trzyma się w objęciach miękką, nagą kobietę, człowiek staje się dziwnie monotematyczny.

W pewnej chwili dotarło do niego, że Molly już nie śpi. Obudziła się i wpatruje się w niego. W jej oczach nie było radości, czyli żałowała tego, co się stało. I w duchu szykowałą się już do wyjazdu. Może ona teraz naprawdę wyjedzie z Hidden Harbor...

Może jemu nawet uda się o niej zapomnieć. Może...

Odsunęła się od niego, więc puścił ją, ale z wielką niechęcią. Kołdra leżała na podłodze, więc Molly chwyciła za prześcieradło i szybko się

nim owinęła. Jej nagie ciało miał możliwość oglądać przez sekundę, może dwie, wystarczyło jednak, żeby mieć gotową opinię. To ciało bardzo mu się podoba. Więcej. Zaczyna chyba mieć na jego punkcie obsesję. I szkoda, że nie kochali się przy świetle. Niestety, czas na kochanie się z Molly Ferrell chyba minął.

- To był błąd - powiedziała.

- Ach tak? A dlaczego?

- Przecież ja ciebie prawie nie znam, a poza tym nie pałamy do siebie sympatią. Ja nigdy czegoś takiego nie robię.

- Ale zrobiłaś to. I teraz to już nieważne, czy lubimy się, czy nie. Po prostu stało się.

- I się odstanie - mruknęła, owijając się prześcieradłem jeszcze szczelniej. - Chyba nie podejrzewasz, że zadurzyłam się w tobie jak jakaś podfruwajka i wystarczyło, żebyś mnie dotknął, a ja już stopniałam jak wosk i jestem twoja na wieki?

Jeśli mówiła to szczerze, nietrudno było odgadnąć jej intencje. Po prostu chciała, żeby się od niej, delikatnie mówiąc, odwalił.

- Nie. Nie jestem naiwny. Podejrzewam coś innego. Jesteś opętana O'Flannerym. Wskoczyłaś do mojego łóżka tylko dlatego, że go kiedyś znałam.

- Nigdzie nie wskakiwałam! Sam mnie rzuciłeś na to łóżko!

- No to ujmę to inaczej. Do tego łóżka wskoczyliśmy oboje! - warknął. Wstał i sięgnął po swoje porzucone dżinsy. -I nie mów mi tylko, że ci się nie podobało. Bo chociaż zamknęłaś oczy i prawdopodobnie wyobrażałaś sobie, że jestem tym twoim drogocennym Michaeliem, to niestety nie on ciebie brał. Tylko ja. A nie jakiś umarły poeta.

- W takim razie ja to ujmę jeszcze inaczej. Ty po prostu jesteś o niego zazdrosny. Więcej, ty chyba go nienawidzisz! Dlatego powiedz, co on ci takiego zrobił?

- A co ci do tego? Nie spodziewaj się, że dorzucę trochę pikantnych szczegółów do tych twoich bazgrołów o nim...

- Powiedziałaś ci już, że nie mam zamiaru pisać jego biografii, skupiam się tylko na jego twórczości. Ale chcę wiedzieć, co takiego zrobił ci Michael O'Flannery, że tak bardzo go teraz nienawidzisz? Bo przecież nienawidzisz go, prawda-

Podszedł do łóżka, tak szybko, że nie zdążyła się odsunąć. Przykląkł i pochylił nad nią twarz wykrzywioną złością.

- On zrujnował moje życie.

- I ty... ty go zabiłeś?

- Oszalałaś?!

- Nie udawaj głupiego! Całe miasto zachowuje się tak, jakby popełniło jakiś grzech, a ty w szczególności. Czy zabiłeś Michaela O'Flannery'ego?

Nie wahał się. Był w paskudnym nastroju, a poza tym, choć wiele się po niej spodziewał, zaskoczyła go tym nagłym frontalnym atakiem.

- Tak - powiedział. - Tak to można ująć.

Zbladła. Na sekundę, dwie zamarła, potem zerwała się z łóżka i naturalnie zaplątała się w prześcieradło. Był pewien, że rozłoży się jak długa, ale nie. Jakimś cudem udało jej się uniknąć bolesnego zetknięcia z twardą podłogą i pokuśtykała do pokoju dziennego po swoje ubranie, które porozrzucane było w obu pokojach.

Jake wstał, podniósł T-shirt, leżący niedaleko łóżka i ruszył w ślad za nią, zbierając po drodze resztę jej garderoby.

Siedziała na kanapie z wyciągniętą nogą, zapatrzona na półki z książkami. Rzucił jej ubranie na podolek i burknął:

- Odwiozę cię do zajazdu.

- A co będzie, jeśli wezwę policję?

- *Habeas corpus*, Molly. Nie ma ciała, nie ma zbrodni.

Odwrócił się, zanim uległ pokusie. Wiedział aż za dobrze, że gdyby jej dotknął, ona by się nie opierała. Przeciwnie. Ale na co to komu? Przecież i tak już wszystko jest dostatecznie spapране.

Molly ubrała się błyskawicznie, nie zważając na przejmujący ból w kolanie i w kostce, a do tego

jeszcze jedną niedogodność, polegającą na tym, że pewne części jej ciała, te mniej eksponowane, wykazywały nadzwyczajną wrażliwość. Jednak teraz nękała ją przede wszystkim jedna, bardzo nieprzyjemna myśl. Że ona, Molly Ferrell, jest jeszcze bardziej pokręcona, niż myślała.

Przed chwilą miała najlepszy seks w swoim całym dotychczasowym życiu. Z człowiekiem właściwie obcym, bardzo jej nieprzychylnym, który ponadto przyznał się, że jest mordercą. Powinna natychmiast wezwać policję, oczywiście, ale dla niej teraz ta sprawa jest zdecydowanie drugoplanowa. Ważniejsze jest wspomnienie tych kilku szalonych godzin, ważniejsze to cudowne uczucie, jakby jeszcze czuła przy swoim ciele nagą skórę tego... mordercy.

Nie. On kłamał. Jeszcze jedno kłamstwo w żywe oczy. Nie mógł zabić Michaela O'Flannery'ego. Ludzie z Hidden Harbor nie mogli kryć takiego przestępstwa, chyba że O'Flannery był jakimś potworem - pedofilem albo czymś jeszcze gorszym - i wszyscy byli zgodni, że powinien przestać egzystować.

Ale O'Flannery kimś takim nie był. Był po prostu biedną, zagubioną duszą z cudownym darem mistrzowskiego operowania słowem. I umarł tak młodo.

Za sprawą Jake'a? Niemożliwe. Chociaż... Jake, przyznając się do morderstwa, wcale się nie

wahał. A to przemawiało za tym, że powinna mu uwierzyć. I to było straszne.

Wstała, próbując jak najbardziej odciążyć skręconą w kostce nogę. Na szczęście noga ta w jakimś tam stopniu zachowała sprawność i udało się jej dokuśtykać do biurka. Pomyślała, że jednak powinna zadzwonić na policję. Nieważne, czy jej uwierzą, czy nie, ona musi komuś o tym powiedzieć. Jak najszybciej, póki nie zmieni zdania. Bo jeszcze chwila i skończy się na tym, że zdecyduje się chronić mordercę. Ukryje prawdę. Dlaczego? A dlatego, że właśnie zdała sobie sprawę, jak wielki popełniła błąd. Niewybaczalny. Zakochała się w Jake'u. Jest więc skończoną idiotką, pomyślała z goryczą, sadowiąc się za biurkiem. Tyle lat strawiła na marzeniach o zmarłym pisarzu, teraz swoje uczucia przelała na zabójcę owego pisarza. Czyli, rozumując logicznie, skończy się to na pisaniu listów miłosnych do celi śmierci.

Jak on mógł to zrobić? I dlaczego, na litość boską - dlaczego? Odebranie życia drugiemu człowiekowi jest czynem straszliwym, o nieodwracalnych skutkach. Wspomnienie tego czynu prześladować będzie do końca życia, będzie gnębić, dławić, jak łańcuch powoli zaciskający się wokół szyi...

Nagle poczuła na plecach lodowaty dreszcz. Łańcuch wokół szyi, szyi ducha Jacoba Marleya... z „Opowieści wigilijnej” Dickensa.

Jacob Marley... Jake Marley...

Potrząsnęła głową. Absurd. Po prostu zwykły przypadek. Czyżby? Nagle poczuła, że robi jej się słabo. Odruchowo zwróciła twarz ku oknu, spojrzenie Molly przemknęło po półce, gdzie równym rzędkiem stały książki Sydneya Carton.

Sydney Carton. Następna postać z powieści Dickensa.

Otworzyła laptopa, wiedząc już doskonale, co pokaże jej monitor. Ostatnie dzieło Sydneya Carton w trakcie pisania.

- Co robisz?

Stał w progu. Nie odezwała się. Powoli zamknęła laptopa, wstała. Chora noga wcale się pod nią nie ugięła. Wielki gniew, jaki Molly czuła teraz, kazał jej zapomnieć o wszystkich dolegliwościach. Przekuśtykała przez cały pokój. Zatrzymała się przed Jakiem, wbijając w niego płonący wzrok. Nawet nie drgnął. Wyraz jego twarzy był idealnie nieprzenikniony.

Chwyliła go za rękę i odwróciła dłoń. Blizny, choć prawie niewidoczne, nadal znaczyły nadgarstek. Blizny po próbie samobójczej sprzed wielu lat. Jedyna prawda, jaką zdecydował jej się przekazać.

- Ty sukinsynu - powiedziała cicho. - Ty kłamliwy, podstępny draniu.

Wcale nie próbował czemukolwiek zaprzeczyć. Tylko wzruszył ramionami.

- Czyli co, miałem ci od razu o wszystkim powiedzieć? Witaj, kochana w Hidden Harbor, aha, a tak przy okazji, to Michael O'Flannery wcale nie umarł. On po prostu nie chce, żeby ktoś taki jak ty zawracał mu głowę.

- Michael J. O'Flannery. Michael Jacob. Jestem głupią, naiwną idiotką - stwierdziła z goryczą.

- Może. Ale pociesz się, że jesteś pierwszą osobą, która to zauważyła.

- I prawdopodobnie pierwszą idiotką, która w swojej głupocie przespała się z tobą. A ty żyjesz w kłamstwie... Chyba to nie jest takie łatwe, prawda? I powiedz mi, co się stanie, jeśli zadzwonię teraz na policję?

- W Hidden Harbor? Bardzo proszę. Usłyszysz wszystko, co powinnaś usłyszeć. Naturalnie, panno Ferrell, zbadamy całą sprawę i poinformujemy panią o wynikach naszego dochodzenia. Na tym koniec. Dalej będą trzymać to w tajemnicy, jak to robią od dwudziestu lat. Ale nie ma o czym gadać, ty i tak do nich nie zadzwonisz.

- Dlaczego? Bo przedtem mnie zabijesz?

- Nie, Molly. Nie jestem mordercą. Ja uśmierciłem tylko samego siebie, młodszego o dwadzieścia lat. I ty również zachowasz to w tajemnicy. Nie możesz mnie przecież zranić, skoro Michael O'Flannery jest miłością twego życia! Czyli ja!

- Powiedziałam to już wcześniej. Ale jeszcze powtórzę. Jesteś chory.

- Chora to jesteś ty!

Stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem. Oczy Molly płonęły z gniewu. Marzyła o nim lata całe. A on okazał się przekłętym, kłamliwym gadem.

- Chcę jechać do domu.

- Czyli wrócić do zajazdu?

- Nie! Wygrałeś. Wyjeżdżam z Hidden Harbor. Muszę tylko jakoś dojechać tam, gdzie zostawiłam swój wóz.

Ciekawa była jego reakcji, owszem. Ale on tylko nieznacznie skinął głową.

- Podwiozę cię do Crab Tree Lane.

- Nie. Z tobą nigdzie nie pojedę. Ktoś inny mnie podwiezie.

- Czyli kto? W Hidden Harbor nie mamy taksówek.

- Powtarzam. Z tobą nigdzie nie pojedę. Nie chcę mieć z tobą już nic do czynienia.

- Naprawdę?

Nagle zmienił głos, teraz był przyciszony, uwodzicielski. Molly, zdeorientowana, cofnęła się o krok.

- Mogę iść na piechotę.

- Minie wiele dni, zanim będziesz mogła normalnie chodzić. Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś ten czas spędziła tutaj, ze mną. Zaręczam, że będzie miło. Możesz już zacząć się rozbierać.

Molly w całym swoim dorosłym życiu nigdy jeszcze nikogo nie uderzyła. To był pierwszy raz. Odgłos uderzenia ręką o policzek był dla niej szokujący.

Nawet nie drgnął.

- W porządku, rozumiem - powiedział. - Nie chcesz tu zostać. Jadę teraz do miasta i znajdę kogoś, kto przyprowadzi tu twój wóz.

- Dobrze.

- A więc czuj się tu jak u siebie w domu. Jadę. Aha... Może masz jeszcze jakieś pytania? Obiecałem ci kiedyś, że odpowiem na wszystkie.

- Mam tylko jedno. Dlaczego to zrobiłeś?

- Dlaczego wymyśliłem tę historię o samobójstwie i wcieliłem się w kogoś innego? Z wielu powodów. Może nie lubiłem siebie samego, może byłem zmęczony, że ludzie tyle się po mnie spodziewają. Może miałem dość natrętów z uczelni, takich jak ty. I lubię być Jacobem Marleyem. A książki Sydneya Carton'a podobają mi się o wiele bardziej niż to, co spłodził Michael O'Flannery.

- A ja nienawidzę Charlesa Dickensa.

Westchnął.

- No to mamy problem.

Odwrócił się i wyszedł. Molly stała nieruchomo. Słyszała warkot silnika odjeżdżającej ciężarówki. Słyszała, jak wzburzony ocean nadal ciska gniewne fale o brzeg.

Stała, zastanawiając się, na co właściwie ma

teraz ochotę. Czy rzucić czymś, czy usiąść i zapłakać. Nie. Przede wszystkim chce stąd uciec i ukryć się. Przed Jakiem, przed sobą, przed prawdą. Zrobiła z siebie kompletną, totalną idiotkę, a jej praca naukowa utknęła w martwym punkcie. Nie napisze przecież niczego o Michaelu O'Flannerym. Zmarnowała tyle lat swego życia, marzyła i śniła nie o zjawie, ale o oszuście.

Gdzie są te cholerne buty? Będą potrzebne, jeśli zamierza prowadzić wóz. Do diabła z nimi... Są gorsze zmartwienia. Jak ona właściwie ma tę całą sprawę przedstawić na uczelni? Jak to będzie z jej stałym zatrudnieniem? Co ma powiedzieć? Naturalnie, że może ogłosić wszem i wobec prawdę. Byłaby to niemała sensacja we współczesnej literaturze amerykańskiej, odkrycie na miarę początku nowego tysiąclecia. Ale oczywiście wcale nie miała zamiaru tego robić. Zamierzała wszystko zachować w tajemnicy. Dlaczego? Sama tego nie wiedziała.

Potrzeba płaczu zdawała się zwyciężać w tej walce o zachowanie resztek opanowania. Kiedy gniewnym ruchem ścierała z policzka pierwszą łzę, usłyszała, że przed dom zajeżdża samochód. Jej honda. Na pewno. Tylko ona, z powodu usterki w zaworze, może wydawać z siebie tak przenikliwe dźwięki. Czyli Jake znalazł kogoś, kto zgodził się przyprzewodzić tu jej samochód.

Szkoda tracić czas na szukanie butów. Wyszła

z domu na bosaka i ruszyła przez deszcz i wiatr, starając się posuwać do przodu jak najszybciej. Tak bardzo chciała odjechać stąd przed powrotem Jake'a. Chociaż, jeśli on zachował jeszcze jakiś rozsądek, to nawet gdyby zjawił się wcześniej, nie powinien pokazywać jej się na oczy.

Jak on powiedział? Że niby on jest miłością jej życia? A o tym to on może sobie teraz pomarzyć!

Honda stała na podjeździe. Silnik był włączony, ale w środku nie było nikogo widać. Dziwne. Molly kulejąc, podeszła do samochodu i sięgnęła do klamki. Jej umysł zdążył jeszcze zarejestrować fakt, że boli. Boli strasznie tył głowy. I zapadła w ciemność.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Było jej zimno, była mokra, a do tego taka jakaś dziwnie skurczona, w piekielnie niewygodnej pozycji. I nie miała bladego pojęcia, gdzie jest...

O, cholera! Przecież wiedziała, gdzie jest. Na podłodze samochodu, wciśnięta za fotel kierowcy. Ręce i nogi ma związane. I jest ciemno.

Samochód stoi w miejscu. Mała pociecha, ale zawsze... Dopóki nie uzmysłowiła sobie, że nie jest sama. Ktoś, ciężko oddychając, usiadł na fotelu kierowcy. A przedtem przesunął jeszcze ten fotel w tył, zamykając Molly w pułapce.

Jake?! Doszedł do wniosku, że warto, aby jego tajemnica pozostała tajemnicą. Chce mieć pewność, że Molly go nie zdradzi. Dlatego podprowadził jej wóz, wysiadł i skrył się w ciemnościach. Potem zaszedł ją od tyłu i ogłuszył. A teraz porzuci gdzieś jej ciało, tam, gdzie nikt go nigdy nie odnajdzie.

Wszystko to miałoby sens, gdyby nie jedno

„ale”. Molly nie była w stanie w to uwierzyć. Jake może jest kłamcą i świnią, ale na pewno nie jest mordercą. I na pewno by jej nie skrzywdził.

Poruszyła się. Samochód leciutko się zakołysał.

- Nie ruszaj się!

Ten głos... Żołądek Molly w jednej chwili skurczył się do rozmiarów niewielkiej, bolesnej kulki. Poznała go. To nie był Jake. To Davy. Zdecydowany za wszelką cenę chronić swego przyjaciela, Michaela.

- Davy? - odezwała się, starając się wydobyć z siebie głos bez odrobiny strachu, za to jak najbardziej łagodny. - Przepraszam cię, ale tu, z tyłu, jest okropnie niewygodnie. Czy mógłbyś mnie rozwiązać i pozwolić mi usiąść?

- Nie! - odezwał się płaczącym głosem. - Bo ja muszę to zrobić! Nie chcę, ale muszę!

- A co ty musisz zrobić, Davy?

- Muszę się ciebie pozbyć. Jake nie chce, żeby ktoś się o tym dowiedział. Jake to mój przyjaciel, on mi ufa. Obiecałem mu, że nigdy nikomu o tym nie powiem. Że to on jest Michaeliem. A ty się o tym dowiedziałaś. Dlatego ja muszę to zrobić.

- Nie musisz, Davy. Przecież ja wyjeżdżam z Hidden Harbor już dzisiaj. Wyjeżdżam na zawsze.

- I powiesz o tym wszystkim.

- Nikomu nic nie powiem, Davy. Potrafię dochować tajemnicy. Tak samo jak ty.

- Ale ja i tak nie pozwolę ci stąd wyjechać.
- W głosie Davy'ego pojawiły się twarde nuty.
- Nie bój się, to nie będzie bolało. A może i będzie, ale podobno bardzo krótko. Ludzie mi mówili, że jak człowiek się topi, wcale nie jest nieprzyjemnie. Po prostu jakby się bardzo chciało spać.

Bolesna kula w żołądku Molly zmieniła się teraz w bryłę lodu.

- Ja nie chcę się utopić, Davy.
- Wiem... - jego głos znów stał się płaczący
- ale nie ma innego wyjścia.

Otworzył drzwi samochodu. Światło nad tylnym siedzeniem zapaliło się automatycznie. Nikłe, a oslepiało po tym leżeniu w ciemnościach. Zmrok musiał nadejść bardzo szybko. Nie wiedziała, jak długo leżała nieprzytomna, skrępowana sznurem. Kiedy....

Otworzył tylne drzwi, złapał ją za ramiona i wyciągnął na zimną, wilgotną ziemię. Był bardzo silny. Ogromny, zwałisty mężczyzna o sile olbrzyma i umyśle dziecka. Takiego człowieka nie pokona się siłą. I nie przemówi mu się do rozsądku.

Zaczął ciągnąć ją po błocie, w stronę, skąd dochodził huk fal oceanu. Próbowwała zapierać się nogami, na próżno, on chyba tego w ogóle nie zauważył. Dyszał i pocił się, ale na pewno nie dlatego, że Molly stanowiła dla niego jakiś wielki ciężar. Nie. Po prostu ciągnąć ją po tym błocie nie było zbyt wygodnie.

Dociągnął ją na sam brzeg skały nad zatoką Claussena, dokładnie w to miejsce, gdzie zginęli rodzice Jake'a.

- Mam zamiar cię rozwiązać - powiedział, sadzając ją na ziemi. - Obiecuj, że nie uciekniesz. Bo ja muszę cię rozwiązać. Jeśli znajdą cię ze związanymi rękami i nogami, nie uwierzą, że to był wypadek.

- Prawdopodobnie - przytaknęła Molly ponurym głosem.

- Jeśli uciekniesz, pogniewam się na ciebie.

Pochylił się i rozwiązał jej nogi. Dopiero teraz zobaczyła, czym ją skrupował. Starym plastikowym sznurem od telefonu, który wrzynał się w jej obolałą, opuchniętą kostkę. Ten sznur zwinął teraz bardzo powoli, starannie i odłożył na bok. Potem przykucnął i zaczął rozwiązywać jej ręce. Molly czekała. Kiedy tylko poczuła, że węzeł się rozluźnia, kopnęła.

Celowała w pachwinę. Przerażliwy krzyk stanowił dowód, że trafiła. Davy upadł, pojękując z bólu. Wtedy zerwała się z ziemi i rzuciła do ucieczki. To nie był szalony bieg, tylko jakiś żałosny, pokraczny chód kraba. Posuwała się jednak do przodu, a to było najważniejsze.

Kiedy płacząc ze strachu, pokonała skalisty przyładek, nagle oślepiło ją światło reflektorów. Gdzieś z dołu, tak, trzeba jak najszybciej zejść na dół, jak najszybciej...

Nagle poczuła na karku ciężką dłoń.

- Dlaczego to zrobiłaś? - krzyknął jej prosto w twarz. - Obiecałaś, że nie będziesz uciekać!

Słyszała trzask głośno zamykanych drzwi samochodów. Tych samochodów musiało być kilka. Słyszała coraz bliżej męskie głosy. Światła reflektorów przeszywały mrok, oświetlając ich dwoje na krawędzi skalnego urwiska.

- Puść ją, Davy - rozległ się z ciemności spokojny, chłodny głos Jake'a. - Przecież nie chcesz jej skrzywdzić.

- Ale ona mnie kopnęła, Jake. I ona wie, kim ty naprawdę jesteś. Na pewno wszystkim o tym opowie.

- Puść ją, Davy. Nie będziesz miał żadnych kłopotów. Obiecuję ci. Policjanci przyrzekli, że nie będą się mieszać, jeśli mnie posłuchasz. Zawiozę cię do szpitala.

- Ale ja nie chcę wracać do szpitala!

Okłamał go, Jake! Boże wielki, okłamał go, pomyślała z rozpaczą Molly.

Wyglądało jednak na to, że Jake tylko ją potrafi okłamywać.

- Nie na długo, Davy. A poza tym, zapomniałeś już, że bardzo ci się tam podobało? Bawiłeś się nieźle. I ja na pewno będę cię tam odwiedzać. Nie tylko ja, wszyscy z Hidden Harbor przyjdą do ciebie z wizytą.

- W porządku - rzucił Davy lekkim tonem,

błyskawicznie zmieniając nastrój. -Ale najpierw ją zabije.

- Nie, Davy. Przecież mi obiecałeś.

- A co ja ci obiecałem?

- Obiecałeś, że nigdy nie skrzywdzisz nikogo, na kim mi zależy. Pamiętasz? Powiedziałeś, że sam będziesz bronił wszystkich, których kocham.

Na chwilę zapadła cisza. Słuchać było tylko ryk oceanu i ciche trzaski policyjnego radia. Potem pytanie:

- A ty ją kochasz, Jake? Ale dlaczego?

- Nie mam pojęcia. - Jake sprawiał wrażenie zde gustowanego tym swoim stanem. Kocha i nie wie, dlaczego i po co mu to. -Ale tak jest, Davy. Dlatego puść ją i chodź ze mną.

Znów zapadła cisza, na chwilę, a wydawało się, że trwa w nieskończoność. I w końcu Davy puścił Molly, zabierając swoją ciężką dłoń z jej karku.

Upadła ciężko na ziemię, jak bezwładna, szmaciana lalka.

A Davy odszedł w mrok, tam, gdzie stał Jake.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Molly nie widziała już więcej Jake'a. Nie pytała zresztą, dokąd pojechał, bo nie było kogo pytać. Najpierw policja z Hidden Harbor zrobiła wielkie zamieszanie wokół jej osoby, potem zawieziono ją na ostry dyżur, żeby zbadał ją lekarz. A potem przekazano ją pod opiekę Laury Jane Twitchell. Wtedy w końcu postawiła to pytanie.

- Dokąd pojechał Jake?
- Pojechał odwiedzić Davy'ego do szpitala stanowego - wyjaśniła Laura Jane, jak zwykle pogodnym, niemal radosnym tonem. - Posiedzi tam trochę z nim, póki Davy nie okrzepnie. Obiecał mu to, a Jake zawsze dotrzymuje słowa.
- Jake...
- Tak. Jake. Wszyscy go tak nazywamy. On jest teraz Jakiem i jest mu z tym o wiele lepiej. Dlatego tak ma zostać, jeśli on tego chce. I nikomu nie wolno burzyć jego spokoju.

- Aha... Rozumiem.

Molly dokuśtykała do vana Laury Jane.

- A ja w jakiś sposób ten spokój zburzyłam. I co teraz? Strąci mnie pani z nabrzeżnej skały, tak jak chciał to zrobić Dave?

Laura Jane roześmiała się głośno.

- My wszyscy doskonale wiemy, że pani nigdy by nie wyrzuciła Jake'owi żadnej przykrości.

- W takim razie wszyscy grubo się mylą. Niczego bardziej nie pragnę niż całkowitej katastrofy w życiu tego człowieka - oświadczyła Molly z goryczą.

Laura Jane uśmiechnęła się szeroko.

- Zakochana para się posprzeczała? Bywa i tak. Pani jest zła, bo on panią na początku okłamał. I ja panią rozumiem, ale proszę, niech się pani jeszcze raz zastanowi. Bo ja, kiedy pani weszła wtedy do restauracji, wiedziałam już, że pani do naszego Jake'a pasuje jak nikt. Jesteście dla siebie stworzeni. Pani powinna tylko....

- Wyjechać. Wyjechać stąd jak najszybciej.

- Wyjechać? Broń cię Panie Boże! Pani nie powinna tego robić! A poza tym... poza tym pani nie może wyjechać. Pani wóz zabrała policja. Stanowi dowód...

- Mogę wynająć jakiś samochód. Nie wiem zresztą, czy będę miała jeszcze kiedykolwiek ochotę wsiąść do tej upiornej hondy. Za dużo złych wspomnień...

- A ja uważam, że pani powinna poczekać na powrót Jake'a. Marjorie kazała mi przywieźć panią do zajazdu. Zje pani obiad, potem prześpi się, odpocznie po tych okropnych przeżyciach. A rano, jeśli nadal będzie pani koniecznie chciała wyjechać, zadzwonimy do Doris Perkins, do jej garaży. Tam można nie tylko wstawić wóz, ale czasami także wynająć.

- Nie będę czekać. Wrócę do zajazdu tylko po to, żeby się spakować.

- Ale jest już prawie dziewiąta! Będzie pani jechać po nocy? Po tym wszystkim, co pani przeszła? To czyste szaleństwo!

A ty, kochana, nie wiesz nawet połowy na temat szaleństw, pomyślała Molly, czując, jak jej policzki zalewa rumieniec. I to właśnie z tego powodu zamierzała uciec stąd jak najprędzej.

- Dojadę do Portland i tam przenocuję. Ale nie spędzę już ani jednej nocy w Hidden Harbor. Nienawidzę tego miejsca.

- Nieprawda - rzuciła Laura z chytrym uśmiechem. - Ale ja rozumiem, dlaczego pani jest zdenerwowana. I potrzebuje pani trochę czasu, żeby uświadomić sobie, czego pani naprawdę chce.

- Ja wiem, czego chcę. Chcę, żeby Michael O'Flannery nie żył i żebym mogła napisać o nim książkę, wtedy dostałabym stały etat na uczelni. Ale ponieważ wszystko jest inaczej, niż sobie

zaplanowałam, wracam do pracy. Ochłonę trochę i dopiero wtedy zastanowię się, co robić dalej.

- Pani jest tak samo uparta, jak moje dzieciaki, panno Ferrell. Czy nie ma sposobu, żeby pani wyperswadować ten wyjazd?

- Nie ma.

Laura wydała z siebie głębokie westchnienie.

- W takim razie zadzwonię do Doris jeszcze dziś wieczorem. Na pewno znajdzie dla pani jakiś samochód.

- Problem tylko w tym, jak go potem tutaj odprowadzić.

- O to niech się pani nie martwi. Doris jakoś to zorganizuje.

Trzy godziny później minęli się na drodze. Było po północy. Płakała tak bardzo, że prawie niczego nie widziała. Ale w jasnym świetle reflektorów swego samochodu od razu rozpoznała jego ciężarówkę. Nie wiedziała, czy Jake zauważył ją, czy nie. Jechał tak szybko...

Widział, nie widział - nieważne. Otarła łzy wierzchem dłoni.

Molly Ferrell wreszcie wyjeżdża z Hidden Harbor. Jake na pewno nie posiada się z radości, o ile oczywiście wierzy, że ona nikomu nie zdradzi jego mistyfikacji. A jej, naturalnie, jest absolutnie obojętne, czy on będzie zadowolony, czy nie. Obojętne, tak. O tym nie należy zapominać.

Westchnęła i wzięła zakręt. Samochód pomknął na zachód, ku nizinom Michigan.

To stało się trzy tygodnie później, w Dzień Dziękczynienia. Zaczynał się pełen gorączki okres przedświąteczny, Molly jednak w tym roku jakby to wcale nie dotyczyło. Nawet nie zamierzała jechać na święta do Rhode Island. Przeprosiła rodzinę, owszem, może nie wypadło to przekonywująco, ale trudno. Nie była teraz w stanie obchodzić święta w rodzinnym gronie, czyli z rodzicami pracującymi naukowo na uczelni ani z rodzeństwem o nadmiernych ambicjach naukowych. Stanowczo nie teraz, kiedy podejmowała najtrudniejszą decyzję w swoim życiu.

Pojedzie nad ocean. Ale nad Pacyfik, jak najdalej od Maine. Porzuci pracę na uczelni, bo teraz już nie ma żadnych szans na zdobycie stałego etatu. I jest jej wszystko jedno, czym to się skończy. Ma dość pieniędzy, żeby przetrwać okres przejściowy. Może dostanie posadę nauczycielki, a może nie. Nieważne, bo z tego wszystkiego najważniejsze jest dojść do siebie po tej historii z Jakiem.

Czas podobno leczy rany, ale w kurowaniu jej konkretnego przypadku - ciężkiej depresji - nie okazywał się skuteczny. Używając romantycznej terminologii, można by ten jej stan określić jako „złamane serce”. Molly zdecydowała jednak, że

to nie o to chodzi, bo dzięki takiemu określeniu jej serce urastałoby do rangi najważniejszego organu. A przecież to tylko głupie serce... Ważniejsza od serca jest dusza. To na duszy jest jej ciężko. I nic dziwnego, przecież omal nie pożegnała się z życiem. Poza tym oszukano ją, po prostu wystrychnięto na dudka. Kariera zawodowa na jej oczach obróciła się w pył, a ona nie miała wyboru. Musiała się z tym pogodzić.

Fakt, że po tych wszystkich przejściach ciągle marzyła o Jake'u, był tylko bardzo niepożądanym skutkiem ubocznym stanu jej duszy i serca. Ale z tym można sobie poradzić. Mała dawka prozaku, odrobina słońca i na pewno poczuje się lepiej. A nawet dobrze. Bardzo dobrze.

Mieszkanie właściwie już zlikwidowała. Większość mebli oddała do przechowalni, na te kilka ostatnich dni zatrzymała tylko łóżko i telewizor. I teraz właśnie miała zamiar odprężyć się przed małym ekranem. Zrobiła sobie kawę i włączyła telewizor. Ulicami Nowego Yorku przeciągała parada Macy's*, po chwili ukazał się Święty Mikołaj we własnej osobie. Molly znów poczuła na policzkach przekłete łzy. Ale ona przecież zawsze była skora do wzruszeń. Wystarczyła jakaś rzewna piosenka czy słodkie kociątko na obrazku...

* Słynna nowojorska parada w Dzień Dziękczynienia, sponsorowana przez sieć luksusowych domów towarowych „Macy's” - przyp. ttum.

Przełączyła na kanał meteo. Na całym wybrzeżu w stanie Maine zimno i deszczowo. I bardzo dobrze. Dla niej cały ten stan powinny stale nękać najcięższe zamiecie, huragany i wybuchy wulkanów. A najlepiej, żeby go w ogóle nie było. Na przykład - żeby nagle wyparował.

Nie. Nie cały stan. Tylko on, ten mistyfikator Jacob Marley razem ze swoimi łańcuchami, które wziął sobie prosto z powieści Dickensa i w dodatku przywłaszczył sobie imię i nazwisko bohatera książki.

Zły dzień zmieniał się na jeszcze gorszy. Przełączyła na inny kanał, gdzie szły znane stare filmy. Obejrzała kawałek filmu „To wspaniałe życie” i zasnęła. Kiedy się obudziła, w pokoju było ciemno. W telewizji pokazywali teraz „Opowieść wigilijną”, film nakręcony według powieści Dickensa. Dobrze, popatrzy sobie przede wszystkim na ducha Marleya, pobrząkującego łańcuchami. Och, z jaką rozkoszą ona by taki łańcuch zacisnęła mu wokół szyi...

Ktoś zapukał do drzwi. Jęknęła. Znajac swoje zezowate szczęście, pomyślała, że to na pewno któryś z życzliwych sąsiadów zajrzał do niej z resztkami indyka. A ona naprawdę nie była w nastroju. Pogrzyżyła się w swoim nieszczęściu i właściwie było jej z tym dobrze. Później rozczuli się prawdopodobnie jeszcze bardziej i znów będzie ryczeć, ale teraz chciała oglądać telewizję i mówić duchowi Jacoba Marleya okropne rzeczy,

bez potrzeby jakiegokolwiek usprawiedliwiania się przed kimkolwiek.

Ten ktoś zapukał ponownie. Dlatego szybko rozważyła opcję ukrywania się, było to jednak bez sensu, ponieważ telewizor nastawiony był na ful. Poza tym ten, kto pukał, niezależnie kim był, sąsiadem czy jakimś diabłem wcielonym, pukał coraz głośniej, czyli był coraz bardziej wkurzony. Świadczyły o tym coraz mocniejsze uderzenia - teraz już walił pięścią.

- Już idę! Trochę cierpliwości! - krzyknęła zirytowana, gramoląc się z łóżka. Miała na sobie bawełniane, porozciągane spodenki i stary T-shirt. Włosy zaplecione w warkocze. Było jej jednak wszystko jedno, że ten ktoś ujrzy ją w takim stanie.

Było jej wszystko jedno, dopóki nie otworzyła drzwi i nie spojrzała w granatowe oczy Jake'a.

- Wyglądasz zabójczo, Molly.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Wiedziała, że nie wytrzyma i znowu je otworzy, ale i tak ten gest dał jej sporo satysfakcji.

Odczekała dobre dwie minuty i lekko uchyliła drzwi.

Wyglądał dokładnie tak samo jak ostatnio, kiedy go widziała. Zirytowany i jednocześnie pełen męskiego wdzięku. Teraz, kiedy już dobrze wiedziała, jak smakują jego usta, było jej bardzo trudno okazywać obojętność na jego widok.

Jednak jakimś cudem udało jej się przykleić na twarz maskę stalowego spokoju i otworzyła drzwi szerzej.

- Przeszkadzasz sąsiadom tym głośnym dobijaniem się - powiedziała, a on wkroczył do środka, zamykając za sobą drzwi.

Wcale go nie zaprosiła, ale wyglądało na to, że dla niego jest to po prostu nieistotne.

- Skąd się tu wzięłeś? - spytała tonem niezbyt uprzejmym.

- Mabel Barton zaszła w ciążę.

- O, jak miło! A ty jesteś ojcem?

Zapomniała już, jak on się śmieje. Cudownie!

- Co to, to nie. Mabel i Frank mają już spory dorobek, pięcioro potworków i to o czymś świadczy. Wolałbym się nie narażać Frankowi.

- Ale co to ma wspólnego ze mną? - zapytała i dodała pospiesznie: - Naturalnie, mnie jest obojętne, czy kręcisz się wokół żony tego Franka, czy nie.

Znów śmiech.

- Jasne. Ale chodzi o to, że Mabel uczy angielskiego w szkole średniej w Hidden Harbor. Po Świętach Bożego Narodzenia idzie na urlop macierzyński.

- I...

- I potrzebujemy w Hidden Harbor kogoś, kto zajmie jej miejsce. Pomyślałem sobie, że może ty... Przecież szukasz pracy.

- I dlatego przejechałeś prawie dwa tysiące kilometrów, żeby mnie o to zapytać?

- Tak naprawdę to przyleciałem. Ale wracać możemy samochodem.

Mówił to wszystko takim niewinnym tonem i minę też miał taką niewinną, jakby tylko po to przyjechał, aby spełnić swój obywatelski obowiązek wobec małej społeczności osady rybackiej.

- A dlaczego miałabym tego chcieć?

- Bo mówiłaś, że lubisz uczyć, a wiem, że nie masz pracy.

Oszczędziła sobie zadania pytania, jak on się o tym dowiedział. Stwierdziła tylko:

- Mogę znaleźć sobie jakąś pracę znacznie bliżej.

- Przecież mówiłaś, że chciałybyś znowu zamieszkać nad oceanem.

- Owszem. Dlatego mam zamiar przenieść się do Kalifornii.

- Kalifornia dobra jest dla mięczaków. Ty jesteś dostatecznie twarda, żeby dać sobie radę w Maine.

- Naprawdę?

- Tak. I w dodatku poradzisz sobie również... ze mną.

Z tak postawioną sprawą nie zamierzała dyskutować.

- A chcesz tego, Jake?

- Jeśli ty tego też chcesz, Molly. A więc jaki
- Hm... Powiedz może najpierw dokładniej, co ty o tym myślisz?

Nabrał głęboko powietrza.

- Myślę, że nie przeżyję kolejnego dnia, wypełnionego czekaniem na twój powrót. A jeśli w grę wchodzi tylko ten nie najlepszy wariant, czyli wyjazd do Kalifornii, to trudno, pojedę za tobą do Kalifornii. Chociaż jestem przekonany, że uda się nam zastosować optymalny wariant. Dobry dla nas obojga. Poddajesz się i wracasz ze mną do Hidden Harbor.

- Poddaję się?
- Tak. Przestajesz mnie olewać. Przestajesz być taka dumna.
- A ty też się poddajesz?
- Oczywiście. Rezygnuję z wolności. Wracaj ze mną, Molly.
- Dlaczego?
- Koniecznie chcesz wiedzieć?
- Koniecznie.

Miała wrażenie, że to go rozjuszyło. I w tym gniewie, jak zwykle, był wspaniały!

- W porządku. Przyznam się. Można by to, naturalnie, wyrazić kwiecicie, ale ja powiem krótko. Zakochałem się w tobie.

- Chyba nie mogłeś wyrazić tego krócej i lepiej - powiedziała, nagle czując, jak jej duszę, jeszcze przed chwilą tak bardzo przygnębioną, zalewa

błogi spokój, a jej „złamane” serce zaczyna bić szybko i radośnie.

- Czyli co, Molly? Jedziesz ze mną? Czy mam może zostać tutaj, gdzie ziemia jest płaska jak patelnia?

Uśmiechnęła się zalotnie, prowokująco.

Ale on jej nie dotknął. Specjalnie. Wiedział, że jeśli jej dotknie, w głowie Molly natychmiast zapanuje chaos, a on czekał przecież na jej poważną decyzję.

No i doczekał się wreszcie. Molly znów się uśmiechnęła i objęła dłońmi jego twarz.

- Jadę z tobą, Jake, ale pod jednym warunkiem.

Granatowe oczy rozbłyły.

- Dobrze. Spełnię każdy.

- Wrócisz do swego prawdziwego nazwiska albo do swego obecnego literackiego pseudonimu. Ja naprawdę nie znoszę powieści Charlesa Dickensa, a tym bardziej bohaterów jego książek... Nie lubię Jacoba Marleya z „Opowieści wigilijnej”. Za to bardzo lubię powieści Sydneya Carton’a i... jak wiesz... od lat kocham się w zmarłym, romantycznym poecie Michaelu O’Flannerym. Wybieraj więc... Sydney lub Michael... - Nagle wydała z siebie radosny pisk, bo on już chwycił ją na ręce i niósł w głąb pokoju.